Poniedziałek, 9.11.2026 | Nr 90 (2601) | Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT) | **www.i.pl** | Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682



POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA



WSZYSCY JESTEŚMY DZIŚ KRAKOWIANAMI

BT

eprasa.pl 8302397b81

POLECAMY

PIĄTEK: Po zamachu w Krakowie. Czy takim czynom można zapobiegać?

9.11.2026
Poniedziałek

Dziś imieniny: Teodora, Elżbiety, Aleksandra, Joanny
Telefon alarmowy: 112

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Robert Feluś
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Marek Twaróg
red. nacz. Polska Press Grupy



Nie bójmy się, jesteśmy silni. Ale możemy być jeszcze lepiej przygotowani

W całym tym strasznym procesie powolnego przyzwyczajania się do zła doszło do gwałtownego tąpnięcia – jakby nagłego wybudzenia z letargu, w którym tkwimy wciąż zaskoczeni, że z miesiąca na miesiąc dopada nas rzeczywistość wojny i terroryzmu. Tragedia w Krakowie to prawdopodobnie ostateczny koniec snu o samotnej wyspie na świecie. Trzeba się zmobilizować

Ataki na osiedla mieszkaniowe, szpitale i szkoły, których dokonują wojska Putina w Ukrainie były i są szokujące, ale dopiero pożary centrum handlowego - jak w Warszawie - ładunki wybuchowe pod torami, zabijanie wrogów na ulicy Białej Podlaskiej i cyberataki uświadomiły nam na dobre, że świat ostatecznie się zmienił. A może raczej uświadomiły niektórym, że stary świat bezpiecznej Europy właśnie się skończył na dobre .

Sobotni krwawy zamach w sercu Polski to symbol, który musi nas ostatecznie obrać ze złudzeń. Dla naszego dobra. Musimy zrozumieć, że zło jest tuż obok.

Kreml rozwija siatkę dywersyjną, miesza w głowach sporej części Polaków, ma ogromne możliwości czynienia szkód i krzywd . Polska jest krajem silnym i na szczęście wciąż zorientowanym na Zachód, na Unię, na wartości europejskie, krajem coraz bogatszym, z coraz lepszą armią, krajem, który dobrze porusza się w międzynarodowych sojuszach.

Jesteśmy mocni. Ale możemy być mocniejsi , jeśli wszyscy zdamy sobie sprawę, że bezpieczeństwo to odpowiedzialność każdego z nas. To bycie uważnym w miejscach publicznych, to reagowanie na każdą nietypową sytuację, to bycie w dobrym kontakcie z dziećmi i bliskimi, to nauka podstawowych zachowań w sytuacjach ryzykownych, to stały dostęp do informacji. To wreszcie ciągły alert służb w miastach i gminach, szpitalach i lotniskach.

Terroryści chcą nas przestraszyć. Ale my nie musimy się wciąż bać, jeśli będziemy dobrze przygotowani . Jeśli my – wszyscy obywatele – będziemy wraz z aparatem państwa budować naszą odporność na kryzysy.

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską”

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH



O potrzebie kontroli mediów i technologii dla dzieci

Twórcy i dystrybutorzy mediów i technologii dla dzieci koncentrują swoją uwagę na tym, żeby jak najwięcej sprzedać. Każdego dnia w internecie, a w okresach przed różnymi okazjami do dawania dzieciom prezentów w sklepach trwa dosłownie polowanie na małego użytkownika lub klienta, przy czym oferujący owe rozrywki nie martwią się o to, czy ich działalność jest dla dzieci bezpieczna i korzystna - czy nie.

Ktoś jednak powinien się o to martwić, bo przypuszczenie, że wystarczająca w tym zakresie będzie opieka rodzicielska, jest niestety złudne.

Na szczęście powstają instytucje i organizacje, które dążą do tego, by prowadzona była w sposób ciągły fachowa ocena zalet i wad tego, co jest oferowane dzieciom. Jedną z takich instytucji jest Common Sense Media (CSM). Jest to amerykańska organizacja non-profit (nie nastawiona na zarabianie pieniędzy), którą w 2003 roku założył amerykański prawnik James Pearson Steyer. Jego zasługą było wskazanie, że w dzisiejszych czasach dla okiełznania instytucji dosłownie atakujących dzieci przy użyciu nowych technologii potrzebna jest także instytucja przeciwstawiająca się takim działaniom. Steyer wiedział, że metodą zakazów czy nakazów niczego się w tym zakresie nie uzyska i dlatego postawił sobie za cel uświadamianie o obecności zagrożeń i dostarczanie rzetelnych informacji na temat tego, co jest dobre, a co złe.

Jego pomysły zostały wsparte finansowo przez sponsorów: Charlesa Schwaba, George'a Robertsa i Jamesa Coultera. Dali oni Steyerowi zapomogę finansową w wysokość pół miliona dolarów, co umożliwiło rozpoczęcie działalności. Potem dołączyli się dalsi darczyńcy i obecnie CSM ma łączne aktywa w wysokości ponad 40 mln dolarów i roczne przychody na poziomie 25 mln dolarów. Przychody te biorą się z tego, że wielu rodziców i instytucji opiekuńczych wykupuje abonamenty, dzięki którym otrzymują regularnie kolejne recenzje i rekomendacje, podążając za stale zmieniającym się rynkiem różnych ofert kierowanych do dzieci.

Celem CSM, jak już to odnotowałem wyżej, jest promowanie bezpiecznych technologii i mediów dla dzieci. Recenzje i opinie CSM docierają (jak podają statystyki) do ponad stu milionów użytkowników. Przez fachowych opiniodawców tworzone i rozpowszechniane są recenzje książek, filmów, seriali telewizyjnych, gier wideo, aplikacji, stron internetowych, podcastów i kanałów YouTube. Korzystne recenzje zyskują te media i produkty, które promują pozytywne wzorce do naśladowania, natomiast negatywne oceny otrzymują przekazy lub produkty promujące przemoc i strach oraz konsumpcjonizm. Źle oceniane są przekazy treści seksualnych, a także tworzone niedbale pod względem językowym.

Ostatnio pojawiło się nowe zagrożenie: zabawki wyposażone w sztuczną inteligencję (AI). W 2026 roku CSM przebadało trzy zabawki wykorzystująca AI: Grem, Bondu i Miko 3. Dowiedziono, że te zabawki prowadząc rozmowy z dziećmi przekazywały niebezpieczne porady, na przykład odniesienia do narkotyków i samookaleczeń oraz naruszały prywatność. Okazuje się, że dziś obawiać się trzeba nawet pluszowego misia!

KRÓTKO

Watykan

Papież w długiej podróży po Ameryce Płd.

Niecały miesiąc po operacji usunięcia nowotworu płuca papież Leon XIV zdecydował się na najdłuższą podróż od początku swego pontyfikatu. Pierwszym etapem jest Urugwaj, uważany za najbardziej zsekularyzowany kraj w całej Ameryce Płd. Od wczoraj – do 11 listopada Leon XIV przebywa w Argentynie, ojczyźnie swojego poprzednika Franciszka, który nigdy jej nie odwiedził podczas 12 lat pontyfikatu. Ten etap jest interpretowany jako symboliczne zamknięcie oczekiwania Argentyńczyków na papieża, trwającego 39 lat. W 1987 roku był tam Jan Paweł II.

Od 11 do 16 listopada będzie w Peru, a hasłem tej wizyty są słowa: „Otwórzmy serca". Dla Leona XIV będzie ona miała szczególny osobisty wymiar. W Peru spędził ponad 20 lat jako misjonarz i biskup.

Do Rzymu papież Leon XIV wróci 17 listopada. **PAP**

Ukraina

Zełenski: Nie chcemy nowej Jałty

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski uważa za niebezpieczne omawianie nowej architektury bezpieczeństwa między Europą a Rosją przed zakończeniem rosyjskiej wojny przeciwko jego państwu i określeniem gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy. Według ukraińskiego prezydenta dążenie Rosji do rozpoczęcia dyskusji właśnie od stworzenia nowej architektury bezpieczeństwa w Europie stanowi zagrożenie.

– Nawiasem mówiąc, dla Unii Europejskiej zagrożenie jest znacznie większe. Nie należymy do Unii Europejskiej. Nie jesteśmy też członkiem NATO. Nie próbuję wypowiadać się w ich imieniu. Wszyscy żyjemy w Europie. Nie chcemy „Jałty 2.0". Nie chcemy, żeby Rosja nas podzieliła – podkreślił Zełenski. **PAP**

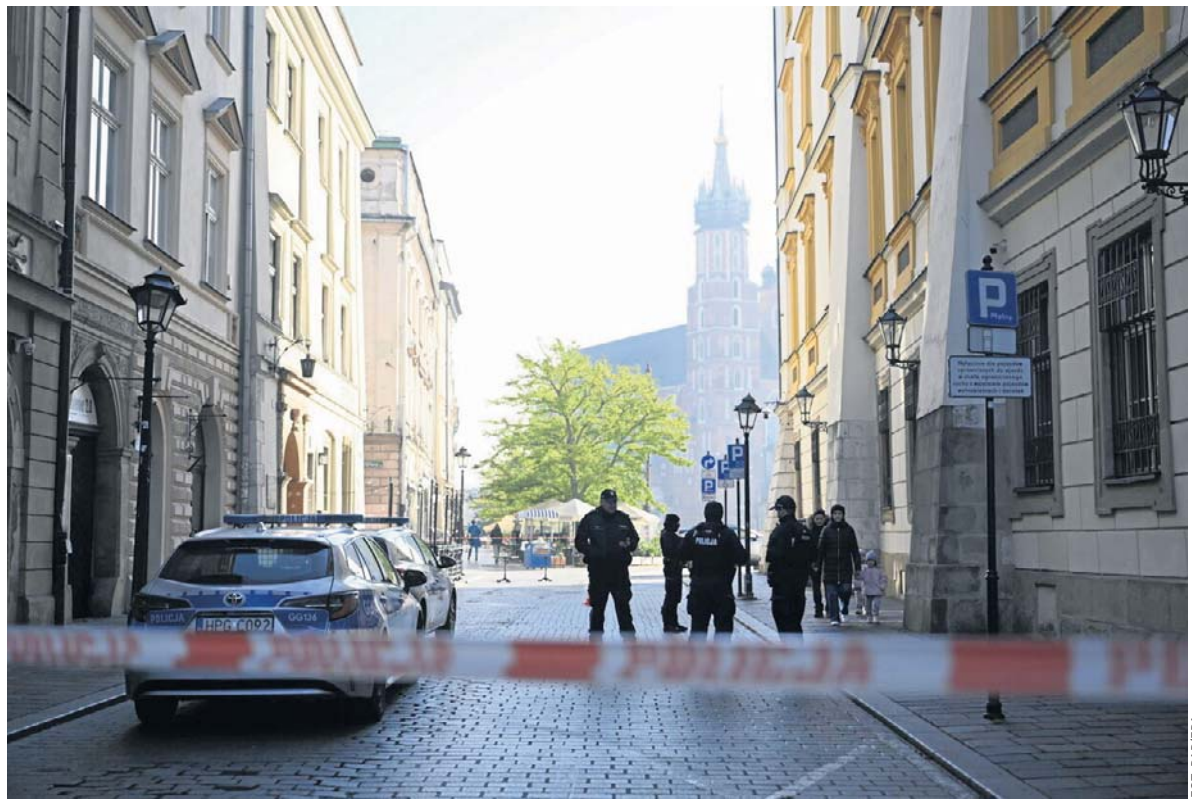
eprasa.pl 8302397b81

ZAMACH W KRAKOWIE

Zabici, ranni i śledztwo prokuratury. Dramatyczne sceny w Krakowie

Prokuratorzy uznali, że sobotni atak Michała O. na Rynku Głównym w Krakowie „stanowił przestępstwo o charakterze terrorystycznym". Wśród zabitych i rannych są tak Polacy jak obcokrajowcy. W kraju trwa żałoba narodowa

Dorota Kowalska



FOT. PAP/EPA

W niedzielę krakowski rynek wciąż był zamknięty. Śledczy badali ślady

Michał O. wjechał w sobotę po 15 na Rynek Główny w Krakowie. Otworzył ogień do ludzi. Są zabici i ranni. Mężczyzna został postrzelony i obezwładniony przez policjantów. Wcześniej prawdopodobnie zabił w Ostrowcu Świętokrzyskim, swojej rodzinnej miejscowości, rodziców i siostrę. Tyle suche fakty.

W niedzielę Prokuratura Krajowa poinformowała o wszczęciu śledztwa w sprawie sobotnich zdarzeń. Decyzję tę podjął prokurator z Wydziału Zamiejscowego Departamentu do Spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji w Krakowie.

Śledztwo obejmuje zabicie przy użyciu broni palnej sześciu osób, bo tyle było ofiar w Krakowie, oraz usiłowania zabójstwa wielu innych - w tym policjantów. Mężczyzna zranił w sumie szesnaście osób. W komunikacie podkreślono, że „czyn ten stanowił przestępstwo o charakterze terrorystycznym".

Jak dodał rzecznik Prokuratury Krajowej, prok. Przemysław Nowak, tym samym śledztwem objęto zabicie trzech osób w Ostrowcu Świętokrzyskim, według prokuratury, do tych zabójstw doszło również 7 listopada. Sprawca użył broni palnej. Jak tłumaczą śledczy, materiał dowodowy wskazuje, iż czynów tych dokonała ta sama osoba.

„Prokuratorzy z różnych jednostek od początku prowadzili czynności procesowe, w tym oględziny w Krakowie, a następnie w Ostrowcu Świętokrzyskim. Czynności te trwały przez całą noc i są nadal kontynuowane. Sprawa zostanie zakwalifikowana jako zabójstwo oraz czyn o charakterze terrorystycznym. Chodzi o osoby, które zginęły w zamachu w Krakowie" – napisano w oświadczeniu.

Wstępne ustalenia wskazują, że działanie napastnika mogło mieć na celu zastraszenie i wywołanie określonych skutków społecznych.

- Nie mamy jeszcze szczegółowych informacji. Wstępne ustalenia, o których na razie nie mogę mówić, dają nam podstawę do przyjęcia, że ten czyn miał charakter właśnie terrorystyczny. Chodziło o zastraszenie i tego rodzaju działanie miało wywołać odpowiednie efekty - powiedział Tomasz Waszczuk, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Krakowie.

Dodał, że śledczy będą badać również, czy w przygotowaniu lub przeprowadzeniu ataku mogły uczestniczyć inne osoby, bezpośrednio lub pośrednio.

W samym Krakowie wciąż trwają oględziny miejsca zdarzenia. W niedzielę czynności prowadzone były między innymi na Rynku Głównym i ulicy Grodzkiej. Zabezpieczano ślady, sprawdzane miejsca, w których mogły znajdować się łuski, a także nagrania z monitoringu. Śledczy muszą też dokładnie zbadać całą trasę przejazdu samochodu i apelują do świadków o przekazywanie wszelkich informacji mogących pomóc w odtworzeniu przebiegu ataku.

Wiadomo, że 24-letni Michał O. mieszkał w Ostrowcu Świętokrzyskim. Do Krakowa przyjechał samochodem ojca. Mężczyzna miał zarejestrowane na siebie dwie sztuki broni palnej. Pozwolenie uzyskał do celów sportowych. Trenował strzelectwo w Klubie Sportowym „Świt" w Starachowicach. Do tego samego klubu należy jego ojciec, na którego zarejestrowanych jest 11 jednostek broni.

Z kolei wojewoda małopolski Krzysztof Jan Klęczar poinformował, że wśród zabitych znaleźli się 61-letnia obywatelka Polski, 47-letnia obywatelka Polski, 53-letnia obywatelka Polski, 32-letni obywatel Wielkiej Brytanii, 51-letnia kobieta niebędąca obywatelką Polski, której narodowości służby na razie nie podają, a także około 50-letni mężczyzna, obywatel Polski.

Krzysztof Jan Klęczar przekazał także informacje na temat stanu policjantów, którzy zatrzymali sprawcę sobotniego zamachu. To starsi posterunkowi – Jakub Kulik i Artur Morański. Obaj zostali postrzeleni i trafili do szpitala.

- Jeden z dwóch policjantów, którzy zatrzymali sprawcę sobotniego zamachu w Krakowie, został już wybudzony. Drugi pozostaje w śpiączce. Stan obu funkcjonariuszy wciąż jest ciężki - stwierdził.

Łącznie w ataku rannych zostało 16 osób. Wojewoda poinformował, że wśród rannych jest 11 Polaków i pięcioro obcokrajowców. Poszkodowani trafili do sześciu szpitali na terenie miasta. Stan 14 z nich jest stabilny, jedna osoba jest w stanie ciężkim.

Sam sprawca został przetransportowany do szpitala, w ciągu nocy przeszedł kilka operacji.

- Jest w stanie krytycznym - powiedział Klęczar.

W sobotę, w akcji „unieszkodliwienia" zamachowca w Krakowie wzięło udział 1146 policjantów z Małopolski i spoza garnizonu małopolskiego, 24 zastępy Państwowej Straży Pożarnej, 62 strażaków ratowników.

Wiadomo, o czym wspomniał wojewoda małopolski, że pierwsze zgłoszenie dotyczące strzelaniny wpłynęło 15 sekund po godz. 15 w sobotę, potem wpłynęło 40 zgłoszeń do centrum powiadamiania ratunkowego.

- Po niespełna dwóch minutach na miejscu pojawia się Straż Miejska. Po niespełna trzech minutach pierwszy patrol policji, a zostało zadysponowanych 30 jednostek policyjnych. (...) Pierwszy patrol już po trzech minutach podejmuje aktywną interwencję - mówił wojewoda.

Po czterech minutach na miejscu pojawiły się pierwsze zespoły ratownictwa medycznego, a po pięciu działania zaczęła Straż Pożarna.

- Na miejscu także osoby, które tam przebywały włączyły się w udzielanie pierwszej pomocy między innymi dwóch profesorów, dwóch pracowników szpitala uniwersyteckiego - powiedział Klęczar.

Wojewoda podkreślił, że szpitale nie stwierdziły braku dostępności krwi. Zaznaczył jednak, że jest ona dobrem niezastępowalnym. Najbardziej potrzebna w tej chwili grupa krwi to AB Rh+. W niedzielę od godziny 9 otwarta była stacja Regionalnego Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa w Krakowie przy ul. Rzeźniczej, ale akcyjnie otwartych było też sześć innych punktów w Małopolsce, gdzie można oddawać krew dedykując ją poszkodowanemu funkcjonariuszowi Jakubowi Kulikowi lub ofiarom zamachu. Lista tych miejsc umieszczona została na stronie rckik.krakow.pl.

W odpowiedzi na tragiczny atak i strzelaninę na Rynku Głównym w Krakowie, władze Warszawy, Wrocławia oraz innych polskich miast natychmiastowo zaostrzyły środki bezpieczeństwa, montując betonowe zapory antyterrorystyczne w strefach pieszych.

- Zgodnie z rekomendacją policji służby miejskie przystąpiły do wystawienia zapór drogowych na wlotach ulic dochodzących do Krakowskiego Przedmieścia - przekazał w sobotę prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. Betonowe zapory staną m.in. na Karowej, Świętokrzyskiej, Królewskiej i Miodowej. Na mieście pojawi się także więcej patroli.

Rafał Trzaskowski poinformował również, że polecił zachować szczególną ostrożność straży miejskiej i służbom dyżurnym w mieście, w tym odpowiedzialnym za monitoring miejski – szczególnie na Krakowskim Przedmieściu i w miejscach gromadzenia się ludzi.

Władze Wrocławia zamknęły słupki blokujące ruch i wprowadziły całodobową, bezwzględną kontrolę wszystkich pojazdów wjeżdżających na Rynek (w tym porannych dostaw) przy wjazdach od strony Kurzego Targu i ul. Gepperta. Miasto przypomniało, że betonowe zapory funkcjonują już na stałe w okolicach ul. Oławskiej i Opery Wrocławskiej.

W niedzielę i poniedziałek (8 i 9 listopada 2026 roku) w Polsce obowiązuje żałoba narodowa. Decyzję o jej wprowadzeniu, po tragicznych wydarzeniach w Krakowie, podjął prezydent Karol Nawrocki, a rozporządzenie zostało kontrasygnowane przez premiera Donalda Tuska. PAP

eprasa.pl 8302397b81

ZAMACH W KRAKOWIE

Szok, krzyki, panika, strzały. I bohaterska postawa policjantów

Ludzie w popłochu, słysząc huk broni wbiegali do lokali, gdzie szukali schronienia. Sprawca 24-letni Michał O. jechał autem i strzelał przez okno z karabinu. Ranni i zabici leżeli na ulicach. Zamachowiec został postrzelony przez policjantów, obaj funkcjonariusze zostali ranni, ale unieszkodliwili mężczyznę z bronią długą

Piotr Rąpalski, Anna Piątkowska, Elżbieta Zemsta, Sandra Krakowiak

Do zamachu doszło tuż koło godz. 15. Sprawca wjechał na Rynek główny czarnym subaru od strony ulicy Szczepańskiej i na skrzyżowaniu ze Sławkowską postrzelił kilka osób, następnie przejechał przez Rynek Główny gdzie strzelał, dalej Grodzką, skręcił w kierunku Stradomskiej, Dietla. I tu jego rajd się skończył.



FOT. PAP/ART SERVICE

Na Rynku Głównym pojawiły się służby, które ogrodziły gapiów od ofiar zamachu

Panika i szok w Krakowie

W sieci natychmiast zaczęły pojawiać się drastyczne nagrania. Na jednym z z nich u wylotu Sławkowskiej leżą postrzelone osoby, słychać płacz i krzyki, ktoś krzyczy „wezwać policję". Słychać na nim też dochodzące z Rynku Głównego strzały. Kilkanaście, kilkadziesiąt osób ucieka w panice w stronę Sławkowskiej, wolno ewakuuje się też jedna dorożka.

Filmiki z zamachu obiegają sieć. Ludzie uciekają w popłochu, sprzedawcy chowają się za lady i zaciągają blaszane osłony witryn. To w czasie przejazdu zamachowca w okolicy. Z jego szaleńczego i zabójczego rajdu też są nagrania. Później mamy obrazy ofiar leżących na ziemi, pomagają im przechodnie.

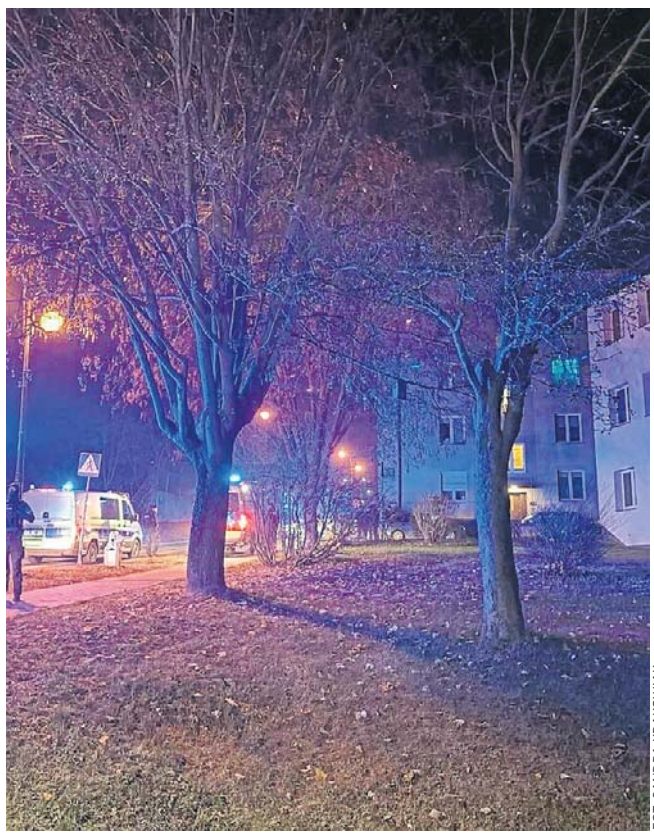
Niedługo po tych wydarzeniach przed Kościołem Mariackim wylądował śmigłowiec, policja odgrodziła Rynek Główny i rozpoczęła ewakuację ludzi. „Żona zadzwoniła. Pracuje przy Rynku Głównym. Powiedziała, że na rynku ktoś strzelał z broni palnej. Ludzie w panice zaczęli wbiegać do lokali. Potem podobno policjant kogoś zastrzelił" - informował nas Czytelnik.

- Oddał strzały do policjantów, policjanci odpowiedzieli ogniem w kierunku sprawcy. Nie znamy jego tożsamości. Był ubrany w wojskową odzież, posługiwał się wojskową bronią. W jego samochodzie było bardzo dużo broni i amunicji. Kilkanaście osób jest rannych, to przypadkowe ofiary - podawała Katarzyna Cisło z biura prasowego Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie. Policja szybko poinformowała też, że sprawcą jest obywatel Polski. To 24-latek. Trafił do szpitala na operację. Ubrany był w strój moro, kamizelkę kuloodporną, posługiwał się karabinem automatycznym AR-15.

- Na rogu Stradomskiej huk, zderzenie się samochodów, za chwilę seria strzałów z broni krótkiej. Zobaczyłem leżącego na chodniku - prawdopodobnie przestępcę i strzelającego do niego policjanta. Policjant też osunął się na ziemię - mówił nam świadek strzelaniny, który stał nieopodal na przystanku.

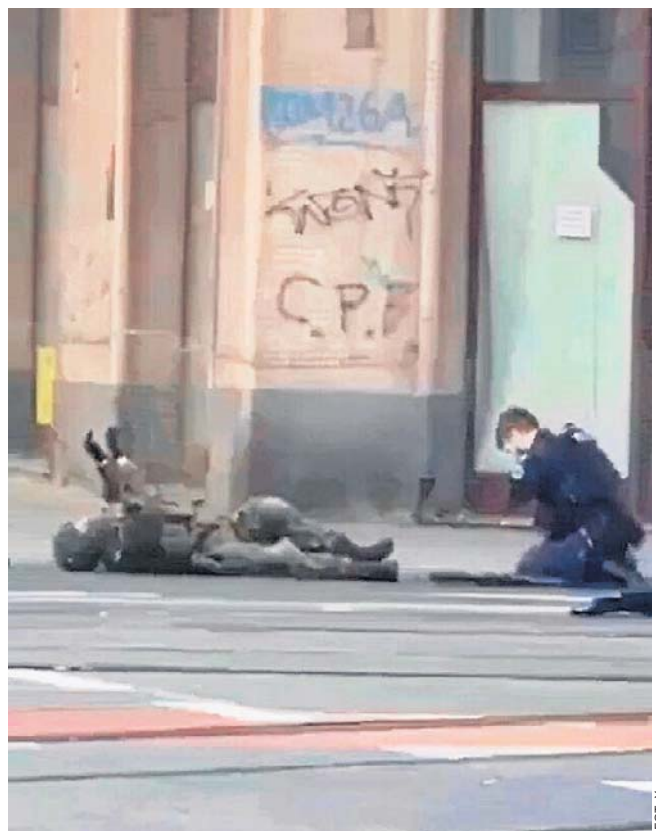
Po tych zdarzeniach sam ukrył się pod arkadami. Zaraz padło jeszcze kilka strzałów. „W sumie pewnie dziesięć" - jak opowiadał nasz rozmówca.

- Potem nastąpiła chwila zawieszenia i do leżącego policjanta podbiegła osoba i jakiś drugi mężczyzna i chyba podjęli akcję ratowniczą. Potem się zjechała policja - relacjonował nam świadek. - Uczucie? Strach, nie wiadomo, co robić. Nogi jeszcze mi się trzęsą – opowiadał.



FOT. SANDRA KRAKOWIAK

W mieszkaniu zamachowca policja znalazła trzy ciała



FOT. X

Policjant Jakub Kulik został ciężko ranny

Bohaterscy policjanci

Gdy padły strzały na rogu Stradomskiej i Dietla, doszło do wymiany ognia między policjantami a zamachowcem, na pomoc ruszyli m.in. dwaj krakowscy chirurdzy, dr Mateusz Wierdak oraz prof. Michał Pędziwiatr. Wcześniej jedli obiad z rodzinami w pobliskiej restauracji. Lekarze wyposażeni w wiedzę i umiejętności od razu rozpoczęli walkę o życie rannych.

eprasa.pl 8302397b81

- Byliśmy na obiedzie w restauracji, tuż przy skrzyżowaniu Dietla i Stradomskiej. Ja z żoną i czwórką dzieci. Mateusz ze swoją żoną i trójką dzieci. Wyszliśmy na zewnątrz. Już się żegnaliśmy. Nagle mój syn krzyczy „Tato, tam strzelają do ludzi a oni padają na ziemię". Schroniliśmy się w aptece, byliśmy świadkami wymiany ognia między policjantami i zamachowcem. Gdy strzały ucichły razem z Mateuszem pobiegliśmy do rannych - relacjonuje Michał Pędziwiatr. Przyznaje, że widząc człowieka w wojskowym mundurze i policjantów w mundurach mocno się zdziwił - A gdzie są ci bandyci co do nich strzelali? - pomyślałem. Obok dwóch policjantów i zamachowca, ranny leżał jeszcze jeden mężczyzna, kierowca samochodu.

- Od razu pojawiła się duża liczba policjantów, strażników miejskich, to było naprawdę szybko. To bzdura, że nie było dodatkowych sił na miejscu. Zaczęli wygradzać teren, opanowywać sytuację, pomagać nam i innym osobom zajmującym się rannymi - mówi lekarz.

Lekarze zaczęli od oceny stanu rannych. - Przy udzielaniu pomocy nie kieruje się tym kto jest sprawcą, a kto ze służb. Dwóch policjantów było przytomnych, w powierzchownym kontakcie z postrzałami w klatkę piersiową. Sprawca też był przytomny, mówił co go boli, miał rany postrzałowe brzucha, uda, klatki piersiowej - mówił dr Pędziwiatr.

Kim jest zamachowiec?

Kilkadziesiąt minut po strzelaninie w centrum Krakowa władze miasta poinformowały o działającym w magistracie sztabie kryzysowym. Instytucje zaczęły odwoływać wydarzenia.

Do Krakowa natychmiast wyruszyli ministrowie MSWiA Marcin Kierwiński, szef MON i wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz, minister sprawiedliwości Waldemar Żurek.

Władysław Kosiniak-Kamysz zaczął od opisu działań służb. Nazwał policjantów, którzy powstrzymali zamachowca bohaterami. Zdementował pogłoski, że zamachowiec był żołnierzem Wojska Polskiego.

Marcin Kierwiński zaapelował do Krakowian, by nie pojawiali się w miejscu zamachu, by nie rozpowszechniać fałszywych informacji, wzbudzać paniki.

- Strzały do zamachowca zostały oddane w 3 minuty po zdarzeniu - zaczął Kierwiński i zapewnił, że pogotowie i straż pożarna dotarły na miejsce bardzo szybko. Dementował też na gorąco informacje o złej reakcji służb, mówił o bohaterskiej postawie policjantów, którzy unieszkodliwili napastnika.

- Modlimy się za tego bohatera żeby przeżył. Sprawca został postrzelony. Jest też w jednym z krakowskich szpitali. Nie ma żadnych podstaw by twierdzić, że sprawców było więcej dodał Kierwiński i zaznaczył, że sprawca miał być zafascynowany ideologiami skrajnie prawicowymi, ale będzie to poddawane jeszcze weryfikacji.

Waldemar Żurek, minister sprawiedliwości zapewnił, że nad sprawą pracuje grupa kilku prokuratorów, by ustalić szczegóły tego tragicznego zajścia.

Wystąpił też prezydent miasta Łukasz Gibała. Również podziękował bohaterskim policjantom. Zaapelował o nierozpowszechnianie dezinformacji. Zapewnił też, że wszystkim potrzebującym zostanie udzielona pomoc psychologiczna.

Ale prawdziwą bombę zrzucił kiladziesiąt minut później Donald Tusk: przekazał, że w domu rodzinnym zamachowca odkryto ludzkie zwłoki, dwóch kobiet i jednego mężczyzny. To prawdopodobnie rodzina zamachowca.

W tym samym czasie w miejscu zamieszkania sprawcy działały już służby. Jak podawał nasz reporter, w miejscu zamieszkania rodziny sprawcy odbyła się ewakuacja mieszkańców jednego z bloków. Teren został zabezpieczony przez policjantów i kontrterrorystów. Miejsce otoczono policyjnymi taśmami.

Do mieszkania, w którym mieszkała rodzina 24-latka weszli policjanci i kontrterroryści. Znaleziono tam ciała trzech osób: wstępnie potwierdzono, że to 53-letni ojciec, 52-letnia matka napastnika i jego 21-letnia siostra.

Pprzyjęto, że napastnik najpierw zastrzelił swoich bliskich, a następnie udał się samochodem do Krakowa, gdzie strzelał do przypadkowych osób.

W obliczu tragedii zobaczyliśmy to, co w ludziach najlepsze - odwagę policjantów i poświęcenie ratowników

DONALD TUSK
premier

Młodszy inspektor Kamil Tokarski ze świętokrzyskiej policji w niedzielny poranek informował: - Na ciałach ujawniono obrażenia, które wstępnie oceniono jako rany postrzałowe. Zwłoki zostały zabezpieczone do szczegółowych badań.

W mieszkaniu zabezpieczono 7 sztuk broni.

Jak opowiadały osoby znające zamachowca, chłopak miał wraz z ojcem brać czynny udział w kółku strzeleckim. Sąsiedzi opowiadali, że matkę 24-latka widziano w piątek. Była spokojna, uśmiechnięta. Według słów sąsiadów, siostra napastnika studiowała w Krakowie. Była niezwykle utalentowana artystycznie, dwa lata temu odbył się wernisaż jej prac w Ostrowcu Świętokrzyskim.

O samym 24-latku mówią, że była raczej skryty. Sąsiedzi nie zauważyli, aby odwiedzali go koledzy. W szkole ponoć lubił pokazywać swoje sympatie do militariów.

- Wie pani, to byli bardzo mili ludzie. Matka zawsze taka uśmiechnięta, taka radosna. Taka naprawdę spokojna - opowiadał nam jeden z mieszkańców bloku. Podobnie mówiła inna mieszkanka. Z jej opowiadania wynika, że 24-latek nie sprawiał wrażenia osoby, po której można byłoby spodziewać się tak dramatycznych wydarzeń. - To taki normalny chłopak, radosny, wesoły. Z tego, co wiem, kiedyś jeszcze w szkole to jakieś nagrody zdobywał. Nie było z nim problemów. W ogóle to była taka spokojna rodzina - mówiła.

Są jednak osoby, które mają zupełnie inne odczucia. Jedna z kobiet, mieszkająca bardzo blisko młodego mężczyzny, przyznała, że jego zachowanie od dawna budziło w niej niepokój. Zwracała uwagę na nietypowe sytuacje, które wielokrotnie obserwowała w sąsiedztwie.

- Wiele razy zamykał i otwierał, zamykał i otwierał drzwi. Chodził w maseczce. Już dawno było, wie pani, po tej epidemii, a on chodził w tej maseczce. Bardzo często w kapturze. Tylko oczy mu było widać. Sprawiał wrażenie takiej strasznej postaci. Ja się go trochę bałam, ja już starsza to i świat inaczej widzę. Był dla mnie taki dziwny - opowiadała starsza pani.



FOT. WOJCIECH MATUSIAK

Rynek Główny został szybko zamknięty, podobnie było w niedzielę

Jak poruszał się sprawca zamachu w Krakowie



eprasa.pl 8302397b81

POLITYKA



FOT. PAP/ART SERVICE

Policja unieszkodliwiła napastnika 3 minuty po otrzymaniu zgłoszenia. Ale politycy i tak krytykują

Narracja obłudy i nienawiści. Kolejna granica przekroczona

Tomasz Sakiewicz, redaktor naczelny TV Republika i niektórzy politycy PiS pomstują, że policja na Rynku w Krakowie znalazła się godzinę po zgłoszeniu. To kłamstwo. Dwaj policjanci, którzy obezwładnili zamachowca są bohaterami. Dzisiaj sami walczą o życie. Pytanie, czy są jeszcze granice, których przekraczać nie wolno

Dorota Kowalska

To było koszmarne popołudnie w Krakowie. Niewyobrażalna tragedia, dramat. A obok tego bohaterska postawa policjantów i zwykłych ludzi, w tym lekarzy, którzy ruszyli na pomoc postrzelonym. Zamaskowany 24-latek wjechał autem na Rynek Główny i otworzył ogień do przechodniów. Sześć osób zginęło, szesnaście zostało rannych. W Krakowie i całym kraju ogłoszono żałobę.

Po ataku telewizje uruchomiły wydania specjalne. W TV Republika, na antenie na żywo z Krakowa nadawał Tomasz Sakiewicz, prezes i redaktor naczelny.

– Gdzie jest policja? – pytał Sakiewicz podczas transmisji. I dalej - Wszystkie rezerwy policji zostały wywiezione do Warszawy.

– Jak można takie bzdury mówić. Co za bzdury! Bzdury pan gadasz – zwrócił się do Sakiewicza stojący obok mężczyzyna. - Nie widać ani jednego policjanta, widać za to bardzo agresywnych ludzi- skwitował Sakiewicz.

Mówił też, że „prawdopodobnie strzelaniny dokonała jakaś grupa cudzoziemców". Wiadomo jednak, że sprawcą był Polak. Zamachowiec pochodził z woj. świętokrzyskiego, działał sam i był zafascynowany skrajnie prawicowymi ideologiami.

Ale prawicowe media zwietrzyły dobry moment, żeby uderzyć w rząd. Jarosław Olechowski, szef wydawców TV Republika, we wpisie na platformie X zarzucił premierowi Donaldowi Tuskowi i ministrowi spraw wewnętrznych i administracji Marcinowi Kierwińskiemu, że narazili bezpieczeństwo Polaków. Twierdził, że zaangażowanie policjantów w zabezpieczenie wydarzeń wokół Trybunału Konstytucyjnego przełożyło się na brak funkcjonariuszy w Krakowie.

„Zorganizowali sobie polityczną hucpę w Trybunale Konstytucyjnym, w którą zaangażowali tysiące policjantów. Tych funkcjonariuszy zabrakło dziś w Krakowie. To Tusk i Kierwiński ponoszą odpowiedzialność za to, co się stało. Do dymisji! Natychmiast!" – napisał Olechowski.

Jego kolega, Samuel Pereira zarzucił policji upolitycznienie, a rządowi skupienie na konflikcie z prezydentem i opozycją.

„Nic się nie dzieje bez przyczyny. Policja upolityczniona, służby ślepe i nieme bez Pegasusa (bo politycy KO chcą mieć święty spokój), rząd skupiony na wojnie z prezydentem i opozycją, agentura się panoszy, a my się dziwimy, że rośnie przemoc, przestępczość i chaos w Polsce?" – pytał retorycznie.

Warto w tym miejscu zauważyć, że dzień wcześniej w Krakowie odbywały się derby Wisły z Cracovią. Jak podał „Przegląd Sportowy Onet", powołując się na rzeczniczkę małopolskiej policji podinsp. Katarzynę Cisło, w działaniach uczestniczyło ponad 1100 policjantów, w tym oddziały prewencji z województw dolnośląskiego, śląskiego i wielkopolskiego. Do dyspozycji były śmigłowiec, drony i psy służbowe.

Ale prawicowe media zwietrzyły „polityczne złoto". „Przestępczość będzie nieuchronnie rosła, ponieważ rząd zajęty jest niszczeniem demokracji, a policja pacyfikowaniem Trybunału. Ten rząd musi odejść!" - napisał kilkadziesiąt minut po zamachu Jacek Karnowski z wPolsce24 i Sieci.

Wtórował mu brat. „Wielka tragedia w Krakowie. I będą, bo muszą, wracały pytania, czy gdyby służby i policja nie były zmuszane do zajmowania się zamachami na telewizje i trybunały, gdyby nie musiały politycznie ścigać polityków opozycji, to może udałoby się tego uniknąć. Może by też było więcej policjantów w tak kluczowym jednak miejscu jak krakowski Rynek. A, przepraszam, chyba w ogóle nie było żadnego" – to Michał Karnowski z kanału TAK.

Po relacji Sakiewicza z Rynku Głównego, insynuacjach prawicowych dziennikarzy, w sieci zawrzało.

„Sakiewicz pyta, gdzie była policja. Tu była. Ten policjant zachował się jak bohater. Walczył z napastnikiem, mimo że sam był ranny. Zdołał go obezwładnić, a potem sam upadł. Módlmy się za to, żeby przeżył" – napisał Mateusz Baczyński, dziennikarz śledczy Wirtualnej Polski na portalu X. Bartosz Wieliński z „Gazety Wyborczej" był oszczędny w słowach. „Niewiarygodne szmaciarstwo" - podsumował.

„Tragedia w Krakowie. To, co robi Republika i Sakiewicz, to skrajna patologia. Każdy, kto tam chodzi, żyruje tę patologię. Taka transmisja jak ta godzi w bezpieczeństwo państwa i porządek publiczny. Gdyby w Polsce istniała KRRiT, ta patologia zostałaby zamknięta" – skomentował Patryk Michalski, dziennikarz TVN24.

Janusza Schwertnera, zastępcy redaktora naczelnego Onet.pl stwierdził z kolei, że „Sakiewicz szczuł na polską policję, tuż po tym, gdy krakowski policjant, ranny, z narażeniem życia powstrzymał zamachowca przed jeszcze większą tragedią".

„Obrzydlistwo. Takie postawy trzeba nazywać po imieniu" – to Paweł Kapusta, redaktor naczelny „Rzeczpospolitej".

Na słowa Sakiewicza natychmiast zareagowała również rzeczniczka MSWiA Karolina Gałecka.

„Polska Policja od razu pojawiła się na miejscu i natychmiast podjęła interwencję, narażając własne życie i zdrowie" - napisała. „W obliczu tak poważnej tragedii, jaka ma miejsce w Krakowie, TV Republika i Tomasz Sakiewicz sieją kłamliwą narrację" – dodała.

Politycy też próżnowali na krakowskiej tragedii ugrać coś dla siebie.

„Panie Ministrze Kierwiński, z takimi policjantami jak ci w Krakowie, którzy nie wiedzą, jak zachować się w takich sytuacjach, to my naprawdę daleko nie zajedziemy"... - tyle Janusz Korwin Mikke.

Była posłanka PiS, była sędzia Trybunału Konstytucyjnego Krystyna Pawłowicz, oraz poseł PiS Mariusz Gosek twierdzili, że policji nie było na Rynku Głównym powielając narrację prawicowych mediów. „Dziwny zamach w Krakowie. Kilka ofiar śmiertelnych. Na miejscu długo brak Policji. Mimo zakazu wjazdu na Rynek, zabójca spokojnie tam wjeżdża. Dziwne to" - skomentowała ta pierwsza. Również do wpisów Pawłowicz i Goska zareagowała Karolina Gałecka z MSWiA. „Nie ma naszej zgody na powielanie kłamstw, że policji nie było na miejscu! To nie tylko manipulacja faktami, ale także uderzanie w funkcjonariuszy, którzy wykonywali swoją służbę. Przestańcie kłamać i wykorzystywać ludzką tragedię do politycznej propagandy. WSTYD!" – zaapelowała rzeczniczka resortu.

Do tego posty anonimowych trolli, przeplatane stanowiskami wydanymi przez osoby publiczne. Żadna z nich nie znała podstawowych faktów, bo kilkadziesiąt, czy nawet kilka godzin po zdarzeniu, nie mogli ich znać. Co życie szybko zweryfikowało.

Bo jakie są fakty? W tym samym czasie, gdy politycy, publicyści i anonimowi internauci zarzucali policji bierność, kilkaset metrów dalej dwóch funkcjonariuszy walczyło o zatrzymanie uzbrojonego sprawcy, który przypominał specjalistycznie wyposażonego żołnierza. Miał długą broń, ubrany był w moro podobne do munduru, miał założony hełm i kamizelkę kuloodporną. Funkcjonariusze mieli wyłącznie krótką broń.

Mimo tego, starszy posterunkowy Jakub Kulik i starszy posterunkowy Artur Morański ruszyli na zamachowca. Obezwładnili go. Narażając własne życie, prawdopodobnie uratowali wiele osób. Obaj są w poważnym stanie.

I żeby było jasne: pierwsze strzały ze służbowej broni padły zaledwie trzy minuty po zgłoszeniu, nie godzinę jak twierdzi Tomasz Sakiewicz i inni prawicowi dziennikarze. Policjanci byli tam, gdzie powinni być. Zrobili to, co do nich należało. I zapłacili za to bardzo wysoką cenę.

Donald Tusk nazwał dwóch młodych policjantów, żaden nie przekroczył trzydziestki, bohaterami. We wpisie zamieszczonym krótko przed godz. 21 zapewnił, że „policja zareagowała błyskawicznie, a funkcjonariusze wykazali się odwagą i nadzwyczajnym poświęceniem".

„Trzech odniosło rany, jeden walczy o życie. Potrzebują naszej modlitwy, solidarności i pełnego wsparcia. Dlaczego niektórym tak trudno to zrozumieć?" – spytał szef rządu.

Może jednak niektórzy coś zrozumieli. Jarosław Kaczyński i Tomasz Sakiewicz zaapelował o odwołanie manifestacji przeciwko działaniom koalicji rządzącej wobec Trybunału Konstytucyjnego, zaplanowanych na 8 i 9 listopada.

„Z uwagi na ogłoszoną przez p. prezydenta @NawrockiKn żałobę narodową, p. prezes @OficjalnyJK apeluje o odwołanie manifestacji organizowanych w Polsce w związku z nielegalnymi działaniami koalicji 13 grudnia, w tym zajęciem Trybunału Konstytucyjnego. Pan premier J. Kaczyński prosi, aby w ten sposób okazać szacunek niewinnym ofiarom brutalnego ataku w Krakowie. Apel o odwołanie dotyczy wydarzeń odbywających się zarówno 8. jak i 9. listopada br." – napisał na X Rafał Bochenek, rzecznik Prawa i Sprawiedliwości.

Wykorzystywanie strzelaniny w Krakowie do celów politycznych jest przekroczeniem kolejnej granicy. O bohaterstwie dwóch młodych policjantów piszą nawet światowe media. Ale dla niektórych nie ma to najmniejszego znaczenia: chodzi im wyłącznie o podgrzewanie emocji, sianie dezinformacji, zbijanie politycznego kapitału. Przyzwoitość? Nie wszyscy znają to słowo.

Współpraca: Arkadiusz Biernat

eprasa.pl 8302397b81

ROZMOWA

Z pistoletem przeciwko karabinowi

- Moim zdaniem ci policjanci zareagowali bardzo szybko. Ważne jest to, że policjanci działali razem i podjęli interwencję zaraz po otrzymaniu informacji. Obaj zostali ranni. Jakub Kulik, mimo że został postrzelony, nadal prowadził wymianę ognia - mówi major rez. Krzysztof Puwalski, były operator JW GROM

Anita Czupryn

Od pierwszego zgłoszenia do wymiany ognia minęły około trzy minuty. To dużo czy mało? Co policjanci musieli w tym czasie zrobić?

Porównywałem podobne zdarzenia w Stanach Zjednoczonych, Londynie, Francji i Niemczech. W otwartych źródłach, do których dotarłem, pojawiały się czasy od 60 sekund do ośmiu minut, jeśli chodzi o podjęcie decyzji i obezwładnienie napastnika. Moim zdaniem ci policjanci zareagowali bardzo szybko. Według małopolskiej policji pierwszy patrol podjął działania już 23 sekundy po zgłoszeniu. Rozpoczęcie działań, dotarcie do napastnika, wymiana ognia i zakończenie zagrożenia to cztery różne momenty. Nie wiem, gdzie byli policjanci w momencie zgłoszenia, ale pamiętajmy też o tym, że to był napastnik w ruchu. To coś, co jest najtrudniejsze w takiej sytuacji. Przemieścił się z Rynku Głównego w rejon skrzyżowania ulic Dietla i Stradomskiej. Ważne jest to, że policjanci działali razem i podjęli interwencję zaraz po otrzymaniu informacji. Obaj zostali ranni. Jakub Kulik, mimo że został postrzelony, nadal prowadził wymianę ognia. To zasługuje na podkreślenie. Kulik jest też strażakiem ochotnikiem. Strażacy, policjanci i żołnierze mają w sobie coś z ratownika. I on to też musi mieć. Dostał kilka razy, ale cały czas prowadził wymianę ognia, aż do unieszkodliwienia tego napastnika. Uważam, że to zasługuje na podkreślenie.

Napastnik ma karabinek i strzela do ludzi. Na miejscu jest pierwszy patrol. Czy w takiej sytuacji można czekać na wsparcie?

Zagrożenie jest duże. Napastnik , ma karabinek samopowtarzalny, bo to był typ AR, do tego z celownikiem optycznym. Czyli precyzyjna broń. Policjanci mają tylko pistolety, broń krótką o skutecznym zasięgu do 25 metrów. Z większej odległości już nie wiadomo, czy trafią. Można powiedzieć, że ta siła jest asymetryczna. On ma karabinek szturmowy, a z takiego AR-a dużo łatwiej trafić niż z pistoletu. Już samo to, że tak szybko podjęli decyzję: „Strzelamy", jest ważne. Bo najtrudniej jest strzelać do napastnika, kiedy wokół są ludzie.

Na nagraniu widać, jak samochód napastnika uderza w auta stojące na skrzyżowaniu. Wysiada więc z samochodu i nadal strzela. Środek dnia, miasto. Na co w takiej chwili policjant musi uważać?

Trzeba ocenić, czy wokół jest bezpiecznie. Czy trafię w tego człowieka? Czy nie zastrzelę kogoś innego? Pamiętasz tę sytuację na warszawskim Tarchominie, kiedy z cyrku uciekł tygrys, a policjant zastrzelił weterynarza zamiast tygrysa? W takich chwilach zawęża się percepcja, pojawia się widzenie tunelowe, emocje są bardzo silne. Ci policjanci podjęli prawidłową decyzję. Postrzelili i zatrzymali napastnika. Kiedy w GROM-ie prowadziliśmy operacje bojowe, byliśmy inaczej wyszkoleni. Ja spędziłem tysiące godzin w kill house'ie, miałem tysiące różnych scenariuszy. A policjant Jakub Kulik to młody chłopak. Służył w wojskach powietrznodesantowych, w bielskiej brygadzie. Ci żołnierze są dobrze wyszkoleni, ale to inny poziom niż w siłach specjalnych.



FOT. X

Puwalski: Jedno mogę powiedzieć: Jakub Kulik był obeznany z bronią

W czym Jakubowi Kulikowi mogło pomóc to, czego nauczył się w wojsku?

Przede wszystkim nauczył się posługiwać bronią. Ale jeżeli służył jako szeregowy, to najprawdopodobniej miał mało do czynienia z bronią krótką. Szeregowi w poddoddziałach powietrznodesantowych strzelają głównie z broni długiej. Mógł więc znać procedurę na wypadek, gdy ktoś strzela do niego z takiej broni. Mógł doskonale wiedzieć, co może się wydarzyć i jak bardzo jest to dla niego niebezpieczne. A mimo to podjął tę konfrontację. Pistolet przeciwko karabinowi. Nie wiem, jak policjanci się ustawili ani czy próbowali obejść napastnika. Nie widziałem tego na nagraniach ani na zdjęciach. Nie wiem, czy obaj do niego strzelali, czy jeden strzelał, a drugi go zabezpieczał, a potem na odwrót. Jedno mogę powiedzieć: Jakub Kulik był obeznany z bronią. Na nagraniach widać również jak zakłada sobie opaske uciskową – czyli wiedział jak zadziałać w takiej sytuacji.

Wracając do napastnika, to czy na tym etapie można mówić o „samotnym wilku"?

Żeby stwierdzić czy był „samotnym wielkiem" potrzeba więcej informacji. . Samotny strzelec i samotny wilk to dwie różne rzeczy. „Samotny wilk" ma inspiratorów i motywację ideologiczną. Tutaj mówiłbym raczej o pojedynczym strzelcu, pojedynczym sprawcy ataku, bo to na tym etapie możemy okreslić. Mówi tylko tyle, że sprawca był jeden i użył broni palnej. O motywie nie mówi nic. Może to być terrorysta, ale też ktoś działający z osobistej zemsty, frustracji czy w kryzysie psychicznym, jak wielu sprawców strzelanin. Wciąż nie wiemy, czy był w jakiejś siatce, która mogła go sprofilować. Pojawiają się różne informacje. Jedni mówią, że był socjalistą, drudzy, że był ultraprawicowy. Żadna z tych informacji nie jest jeszcze potwierdzona, więc trudno dziś powiedzieć o tym coś rzetelnego.

Jeśli się potwierdzi, że działał sam, czy służby mogły się wcześniej dowiedzieć, co planuje?

Sprawcy działający w pojedynkę to dla służb najtrudniejszy przypadek. Nie ma rozmów z innymi członkami grupy, które można podsłuchać, nie ma przepływów pieniędzy ani werbunku, czyli właśnie tych śladów, po których zwykle wykrywa się zamachy. Ale badania nad takimi sprawcami pokazują, że rzadko są oni zupełnie niewidoczni. W wielu przypadkach wcześniej zdradzali swoje zamiary: pisali w internecie, mówili coś bliskim, gromadzili broń, wchodzili w konflikty z prawem. Kluczowe pytania brzmią więc: czy takie sygnały były, czy ktoś je zgłosił i czy trafiły do właściwej instytucji.

AUTOREKLAMA

TELEMAGAZYN

Twój wybór programów

telemagazyn.pl

REKLAMA 0011610719

Chocianów, dnia 9.11.2026 r.

WYCIĄG z OGŁOSZENIA o PRZETARGU

BURMISTRZ MIASTA I GMINY CHOCIANÓW

informuje,

że dnia 12 stycznia 2027 r. o godz. 9:00 w sali nr 4a

w Urzędzie Miasta i Gminy w Chocianowie

odbędzie się:

D R U G I przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości gruntowej zabudowanej, oznaczonej nr geodezyjnym 30/1 o pow. 0,0812 ha. Działka zabudowana jest budynkiem administracyjno-biurowym o nr ewid. 316 o pow. uż. 390,49 m². Nieruchomość położona jest przy ul. Głogowskiej 14, obręb 3 miasta Chocianów. KW nr LE1U/00091804/4. MPZP oznaczona jest symbolem 18MWn – teren zabudowy mieszkaniowej wielorodzinnej niskiej.

CENA WYWOŁAWCZA: 1 670 000,00 zł (jeden milion sześćset siedemdziesiąt tysięcy złotych 00/100), przy postąpieniu nie mniejszym niż 1% ceny wywoławczej z zaokrągleniem w górę do pełnych dziesiątek złotych. VAT ZW.

Wysokość wadium, forma, termin i miejsce jego wniesienia: 84 000,00 zł (słownie: osiemdziesiąt cztery tysiące złotych), wpłata na rachunek bankowy Gminy Chocianów nr **73 1020 5226 0000 6702 0706 0603** w PKO BP Oddział 1 we Wrocławiu do **6.01.2027 r. (włącznie)**. Przy wpłacie wadium należy podać nr działki.

Ogłoszenie o przetargu zamieszczone jest w Biuletynie Informacji Publicznej (BIP) http://chocianow.bip.pbox.pl, na tablicy ogłoszeń w prasie oraz na www.chocianow.pl.

Szczegółowe informacje pod nr tel. 76 81 85 020 (centrala), sylwia.przybysz@chocianow.pl, w zakresie MPZP natalia.kozlik@chocianow.pl

REKLAMA 0311461412



eprasa.pl 8302397b81

ROZMOWA TYGODNIA

Remedium na niewiedzę jest zawsze edukacja. W przypadku walki z dezinformacją – medialna

Z Krzysztofem Grzegorzewskim, medioznawcą, wykładowcą Uniwersytetu Łódzkiego, rozmawia Dariusz Pawłowski

Dariusz Pawłowski

Podejmujemy temat dezinformacji, ale czy w epoce, kiedy w narracji, także medialnej, dominuje emocja, w ogóle jeszcze informacji potrzebujemy i potrafimy ją jeszcze zdefiniować?

Mnie się wydaje, że informacja wciąż jest potrzebna, nawet teraz bardziej niż kiedykolwiek. Rzeczywiście jednak trzeba odbiorców ponownie nauczyć z nią obcować. Pomieszanie wartości i wynikająca z niego polaryzacja to efekt nadmiaru przekazów i bodźców. To zresztą nie jest tylko polski problem, ale widać to już na całym świecie, w Europie Zachodniej, no i doskonale jest dostrzegalne w Stanach Zjednoczonych Donalda Trumpa. Kłopot się zwiększył w momencie, kiedy owo zjawisko zaczęło dotyczyć mediosfery. Proszę zwrócić uwagę, że w żadnej sprawie, zwłaszcza społeczno-politycznej, nie jesteśmy już w stanie się dogadać – dyskusja prawie nie istnieje. Jestem teraz w trakcie lektury bardzo ciekawej książki socjolożki Aldony Guzik „Eksperci naszych czasów". Autorka badała ekspercki dyskurs medialny, na przykładzie serwisów informacyjnych w telewizjach. I już na wstępie formułuje wnioski, że debata, w której mogą się spotkać dwie przeciwstawne strony i dyskutować na argumenty, jest już praktycznie niemożliwa, a nawet wykorzystywanie ekspertów w programach publicystycznych odbywa się w takiej formie, że to tylko sprzyja pogłębianiu tak zwanych baniek filtrujących czy programujących, nazywanych bańkami informacyjnymi. Konieczne stało się zatem przekazywanie wiedzy, co informacją jest, a co nie jest i jak odróżnić informacje od fejków, od interpretacji, od czyjegoś osobistego zdania, od jakiegoś przekonania graniczącego z pewnością.

A jest jeszcze odbiorca chętny i gotowy na taką edukację?

Trudno to określić, bo edukacji medialnej w tym zakresie jest jak na lekarstwo. Ale niedawno prowadziłem zajęcia ze studentami Uniwersytetu Łódzkiego ze sztuki przemawiania i dyskutowania. Oglądaliśmy znany filmik z emocjonalnym wystąpieniem Krzysztofa Stanowskiego o tym, że jesteśmy świadkami końca demokracji i po tym, co Tusk zrobił z Trybunałem Konstytucyjnym, to czeka nas dyktatura. I studenci zwrócili uwagę przede wszystkim na to, że ta opowieść jest o niczym, że tam nie ma informacji, a jest tylko emocja, krótkie stwierdzenia, często kłamliwie użyte. Bo on mówi: fakty wskazują na to, że tu jest dyktatura. Jakie fakty, pytamy zatem? W tej wypowiedzi nie ma żadnych dowodów na to, co chce nam przekazać Stanowski. Tego typu emocjonalne oświadczenia dziś powszechnie zastępują nam rzetelne informowanie albo objaśnienie, co w danej sytuacji się właściwie dzieje. Zatracamy podstawową funkcję, jaką powinien pełnić komentator, czyli objaśnianie tego, co się wyprawia, opowiadanie nam świata, w miarę możliwości z zachowaniem uczciwej argumentacji. Studenci III roku wyczuli perswazję i manipulację, bo mają już jakąś wiedzę na ten temat. W powszechnym odbiorze jednak takiego rozróżnienia bardzo brakuje i legitymizuje się ludzi, którzy poza tym, że mają gadane, nic nie wiedzą i nie potrafią. Ludzie zderzają się z tym, co jest preferowane na platformach społecznościowych – celowo nie nazywam ich mediami. Nie zawsze mają świadomość tego, co widzą, czy to jest informacja czy tylko komentarz, osobiste zdanie na jakiś temat. Brak oddzielania informacji od komentarza to niestety także problem świata mediów i nie mówię tylko o tych, w których robi się to celowo. Mamy coraz mniej programów informacyjnych z prawdziwego zdarzenia, a jeżeli już one są, to się im zarzuca, że są nudne. I tak wymieniliśmy informacje na epitet, na komentarz, na osobiste wystąpienia pełne emocji. Ba, de facto wymieniliśmy publicystykę na coś w rodzaju osobistych pamiętników. Uczestniczą w tym, co gorsza, kompletnie zacietrzewieni ludzie ze sfery publicznej, na przykład niektórzy aktorzy. Wrzucę kamyczek do ogródka Joanny Szczepkowskiej, bo ton jej komentarzy – nawet jeżeli nie odmawiam im racji, ewidentne zadeklarowanie po stronie obecnej władzy, a właściwie daleko idąca wobec niej spolegliwość, są już przekroczeniem granicy dopuszczalnej, uczciwej debaty. Po drugie, ktoś może powiedzieć: „no dobrze, ale dlaczego my mamy wierzyć aktorce?" Nie odmawiam nikomu prawa do wyrażania własnego zdania, ale w momencie, kiedy sięgam po prawdziwe media, a nie platformę algorytmiczną, to oczekuję, że przeczytam coś prawdziwego, w komentarzu zaś ktoś wyrazi własne zdanie i je uzasadni w sposób, który dopuszcza uczciwą dyskusję.

To gdzie jest nadzieja? Czy może w tych młodych, o których pan mówił?

Może tak, ale też pamiętajmy, że młodzi są różni, więc bym nie generalizował, że to młode pokolenie jest mądre w całości i ono nas zbawi. Zarówno ja, jako wykładowca i pan, jako profesjonalny dziennikarz możemy ich tylko uczyć, by tą swoją konstatację rzeczywistości pielęgnowali i pogłębiali. Pokazywać im i dostarczać na przykład przeprowadzone rzetelnie i uczciwie wywiady, z których dowiemy się nie tylko czegoś o rozmówcach, ich poglądach i wnioskach, ale też o samej sprawie, w imię której rozmawiają. A potem uzmysłowić, że właściwą dyskusję trzeba przeprowadzić sobie samemu w głowie. Oglądam Krzysztofa Ziemca, który jest bardziej konserwatywny, potem Rafała Ziemkiewicza, który jest skrajnie prawicowy, następnie Dominikę Wielowieyską, która trzyma się strony liberalno-lewicowej, a na końcu kogoś ze skrajnej lewicy. I wtedy mogę próbować coś poskładać. W atmosferze takiego wyjścia z bańki, różnorodności, mogę z filmem Stanowskiego, czy choćby w programie z samym Stanowskim – choć on akurat mnie nie zaprosi – dyskutować i w oparciu o fakty kontrować niektóre wypowiedzi. Na przykład dotyczące przepisów prawa, co jest szczególnie interesujące, bo w samej bibliotece uniwersyteckiej są ze trzy regały z książkami pod hasłem „wykładnia prawa" - i weź tu człowieku nie zgłupiej. To, czego potrzebujemy, to przede wszystkim objaśnianie nam sytuacji, bez poddawania się narracji tylko jednej ze stron. Oczywiście, istnieje niebezpieczeństwo, że gdy prawnicy pójdą do mediów, to będą wiedzieli, że mówią również do laików, którzy mogą szybko się tym znudzić, więc znowu pójdą w emocje. Teraz dochodzimy do kolejnego punktu, mianowicie do woli słuchania, chęci dowiedzenia się czegoś, konfrontowania, sprawdzania, wyłapywania fałszywych narracji i pokrętnych narracji... O, jako przykład tego ostatniego, podam coś, co dotyczyło do pewnego stopnia mnie. Rafał Ziemkiewicz w jednym ze swoich internetowych filmików mówił niedawno, że jak TVN zostanie przejęty, to przekaz tej stacji się zmieni. Według Ziemkiewicza, że nowa linia będzie bardziej uczciwa, i z tym jeszcze można się zgadzać albo nie. To jest jego indywidualna ocena. Ale zaraz dodaje, że ci pseudomedioznawcy, taki Grzegorzewski czy Kowalski, będą krzyczeć, że zmiana doprowadzi tylko do tego, że widzowie odejdą. I tłumaczy, że widzowie nie odejdą, bo propaganda w TVN jest robiona bardzo profesjonalnie i widz jej nie dostrzega, bo jest głupi. Bo jak by był mądry, to by oglądał „nasze" media. Na taki sposób argumentowania, oparty na inwektywach, zgadzać się nie można. Wydawałoby się, że w XXI wieku, a właściwie już w jego ćwierci, nikt na to nie będzie sobie pozwalał. I to nie ma nic wspólnego z pluralizmem mediów, wolnością. Zresztą, jaka wolność? Ja teoretycznie mogę coś opublikować na YouTubie, a on mi to zmasakruje algorytmami, albo uczyni tak, że ten film się nie będzie nikomu wyświetlał. Obejrzy go 500 osób, a film Stanowskiego milion dwieście tysięcy. To nie ma nic wspólnego z wolnością. To wielkie zadanie, by te wszystkie mechanizmy zacząć ludziom uświadamiać.

Z tego można wysnuć wniosek, że głównym źródłem dezinformacji są emocje, pragnienie manipulacji i utrzymywania nas w stanie społecznego podziału.

Dokładnie tak. Przecież ludzie stale są szczuci emocjami. Stale są dzieleni, bo dychotomia my i oni, czarno białe wartościowanie, powoduje, że nie mamy już energii na przyjrzenie się temu, co jest prawdą, a co nie. Wszystko to razem powoduje, że ludzie popadają w coraz większe rozedrganie, nerwowość, nie potrafią już ze sobą rozmawiać. Algorytmy nowych mediów działają tak, że jesteśmy izolowani we własnych poglądach, one atomizują społeczeństwo, w sensie psychicznym, ale i intelektualnym. W związku z tym informacja dociera tylko cząstkami do pewnych określonych grup ludzi, jest szalenie spersonalizowana. Jest przez algorytm podpowiadana, a nierzadko preparowana tak, żebyśmy dostali to, co chcemy dostać i uwierzyli w to, w co chcemy uwierzyć. Profesor Aleksy Awdiejew nazwał Facebooka faszystowskim wynalazkiem i ja sobie myślę, że on ma rację. To są media na sterydach. Stworzyły problem uzależnienia od ciągłego komunikacyjnego

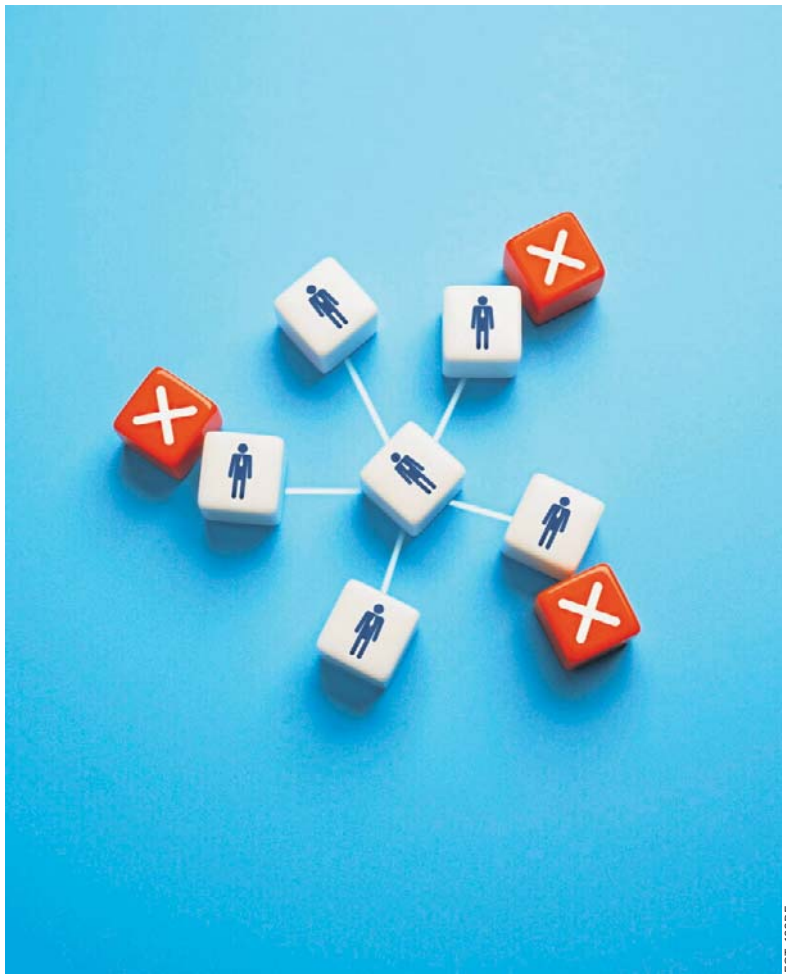
MEDIA PRZECIW DEZINFORMACJI

eprasa.pl 8302397b81

turbodoładowania, taki sam, jaki kiedyś stworzyły cukier czy alkohol w czystej postaci. To jest nieprawdopodobny eksperyment na społeczeństwie, zwłaszcza na dzieciach. W takich warunkach dezinformacja będzie się plenić, bo będą ją powielać miliony botów, albo po prostu głupich ludzi, wypisujących różnego rodzaju brednie, bluzgi. Jesteśmy zagubieni, a wydaje nam się, że jesteśmy pewni i bezpieczni. Dziennikarstwo zamieniło się w fast food z klikbajtowymi nagłówkami. Coraz trudniej jest przeczytać jakąś sensowną treść, analizę, felieton, a jeśli już, to są one za paywallem. To, co powszechne, stało się szlamem.

Nie brzmi to pozytywnie. Czy jest to problem odwracalny, czy też już jest za późno?

Nie wiem, czy na to pytanie ktokolwiek potrafiłby uczciwie odpowiedzieć. Możemy mieć nadzieję, ale ja tę nadzieję tracę, zwłaszcza w odniesieniu do Polski. Przede wszystkim nie widzę możliwości elementarnego porozumienia wśród polityków. A jest to niezbędne, by pewne kwestie uregulować, chociażby będące w zakresie kompetencji Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, którą najpierw należałoby odpolitycznić. Dlaczego jej członków mają powoływać posłowie i senatorzy, a nie gremia profesorskie i dziennikarskie? Mówi się, że telewizję ogląda coraz mniej ludzi, dlaczego zatem Republika tak zażarcie walczy o swój byt czy trwa tak gorąca dyskusja wokół zmian właścicielskich w TVN? Nie widzę woli, żeby wprowadzić rzeczywiście jakąś ustawę, która proponowałaby rozwiązania otwierające media na potrzeby społeczeństwa, a nie polityków. Byłoby to kosztowne, również politycznie, ale to jest cholernie poważna sprawa. Telewizja Polska sięgnęła dna za Jacka Kurskiego, ale dziś znowu nie jest tam dobrze, przekaz jest niekiedy bardzo jednostronny. A kiedyś to była inna rzeczywistość, można było w jednym studiu zgromadzić Tomasza Lisa, Rafała Ziemkiewicza, jednego z braci Karnowskich i innych jeszcze publicystów. Dyskusja była ostra, momentami po bandzie, ale jeszcze była dyskusją. Dzisiaj zgromadzenie takiej trójki czy czwórki jest niemożliwe, bo gdy będą jedni, to drudzy nie przyjdą. Publicyści właściwie nie funkcjonują poza swoimi pismami, swoją telewizją, swoimi kanałami YouTube'owymi. Nikt z nikim nie chce się dogadać. Jeszcze nie-



FOT. 123RF

Krzysztof Grzegorzewski: W mediosferze dominują emocje i dziś debata na argumenty jest praktycznie niemożliwa

przy tym, że te media są sterowane algorytmami, a algorytmy zostały stworzone i zaprogramowane przez ludzi cynicznych, nastawionych wyłącznie na zysk. Gdzie tu zatem mówić o informacyjnej rzetelności? Gardło zdzieram sobie, by to wyjaśniać: to nie jest rzetelne źródło informacji. Tam sobie można pogadać, można się pośmiać, pobluzgać, powyzywać. Ale nie zdobywa się tam sprawdzonych wiadomości, bo tam nie ma profesjonalnej redakcji.

Może zatem, poza edukacją, to jednak państwo powinno zaangażować się we wspieranie rzetelnego dziennikarstwa, w tym mediów regionalnych, które są w kryzysie i w szczególnie trudnej relacji z rynkiem?

Ależ owszem, panie redaktorze! Tylko zaraz pojawią się przeciwnicy pytający, co to znaczy rzetelne dziennikarstwo? Bo zdaniem Tuska rzetelne dziennikarstwo jest tym, co robią TVN i TVP, a zdaniem Kaczyńskiego jedyną rzetelną telewizją jest Republika. I weź tu pan dyskutuj z nimi. Z pewnością media regionalne, niezależne, prywatne należy wspierać, bo dawno angażowałem się w różne badania Towarzystwa Dziennikarskiego, licząc na przygotowanie istotnych opracowań, które zainteresują ustawodawcę. Powoli jednak przestaję mieć nadzieję na zmianę.

A tu jeszcze dochodzi internet...

Internet i jego wykwit, czyli media społecznościowe, to wynalazek, który powstał w liberalnym systemie medialnym i gospodarczym, znanym ze Stanów Zjednoczonych. I ten fakt narzuca reguły, które kierują tym systemem. A one nie przystaną do polskiego czy europejskiego prawodawstwa. Zapominamy żałoby faktycznie wspierać albo im życie ułatwiać, niezależnie od sympatii politycznych czy linii redakcyjnej, bo bez nich jeszcze mocniej rozpadną się więzi społeczne, a lokalna władza będzie miała całkowitą kontrolę nad przekazem medialnym. Czy jednak nasi politycy potrafią wznieść się na ten poziom? Panie redaktorze, odpowiadam – nie potrafią i udowadniali to w ciągu ostatnich 15 czy 20 lat. Tu pojawia się od razu pytanie o prasę samorządową. Czy to jest wolność, czy może oczywista polityczna propaganda? Wiemy, że to drugie, ale czy możemy zabronić samorządowi wydawania gazety? W 2024 z Andrzejem Krajewskim i jego ludźmi zrobiliśmy raport dotyczący mediów lokalnych. To dotyczyło takich miast, jak Ciechanów, Sochaczew, Świdnica czy Strzegom. I okazało się, że poza prasą samorządową, jeżeli istnieją tam jakieś lokalne media, to często są one żałośnie słabe – ukazują się albo w niewielkich nakładach, albo są szybko pacyfikowane przez lokalny układ polityczny. Widzieliśmy taki proces destrukcji po sąsiedzku, który dotknął „Nowe Życie Pabianic", kiedyś drapieżne wobec lokalnej władzy pismo, a ostatecznie przez nią spacyfikowane w 2016 roku, między innymi wskutek slappów.

Jak się obronić przed tym dezinformacyjnym chaosem i nieprofesjonalizmem?

Przede wszystkim trzeba byłoby zacząć od odpolitycznienia i uspołecznienia tego, co już jest. Tu piłka jest po stronie parlamentu, w odpolitycznianiu rozmaitych instytucji publicznych. Także same wciąż funkcjonujące redakcje, nie tylko publiczne, ale i prywatne – w prasie, internecie, telewizji, radiu – muszą zrozumieć, że tylko opierając się na rzetelności, jakości i profesjonalnym dziennikarstwie ocalą swoje relacje ze społecznością, a co za tym idzie – istnienie. Warto tu zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz, mianowicie rynek reklam. W czyich jest on rękach? Jak łatwy jest dostęp do możliwości zapewnienia sobie reklamy? Bo w Polsce są na przykład tylko trzy naprawdę duże biura reklamy sprzedające telewizyjny czas antenowy – jedno jest przy Polsacie, drugi przy TVP, a trzeci przy TVN. I one decydują o tym, komu dać tę reklamę, a komu nie. To jest sytuacja, delikatnie mówiąc, nienajlepsza. Informacja, w lęku przed rynkiem, jest przykrywana tabloidyzacją, emocjonalizacją przekazu, sama informacja przestaje być sexy.

REKLAMA

0011606990



eprasa.pl 8302397b81

OCHRONA ZDROWIA

Chcemy być młodzi i zdrowi. Nie umiemy zaakceptować życia z bólem

Aż trudno uwierzyć, że każdego dnia blisko 8,5 mln mieszkańców naszego kraju boryka się z przewlekłym bólem. Część z nich, głównie osoby starsze, cierpi w milczeniu, bo otoczenie tłumaczy ich dolegliwości zaawansowanym wiekiem – twierdzi prof. dr hab. Wioletta Mędrzycka-Dąbrowska, prezes Polskiego Towarzystwa Pielęgniarek Terapii Bólu

Jolanta Gromadzka-Anzelewicz



Prof. Mędrzycka-Dąbrowska: Leczenie bólu zawsze trzeba dopasować do konkretnego człowieka

FOT. 123RF

Jaka jest definicja bólu?

Ból jest – obok temperatury, tętna, oddechu i ciśnienia krwi – ważnym parametrem życiowym. W medycynie mówi się, że ból to „piąty parametr życiowy". Ból jest odczuciem subiektywnym, to złożone zjawisko obejmujące czynniki biologiczne, psychologiczne i społeczne. Strach, lęk i depresja mogą wzmacniać i obniżać tolerancję bólu, a znaczenie mają też mechanizmy radzenia sobie, przekonania i postawy wobec bólu.

Nie każdy ból jest taki sam.

Ból może być słaby albo bardzo silny. Może kłuć, mrowić, piec, przeszywać, ćmić albo przypominać porażenie prądem. Najczęściej jest sygnałem alarmowym: ostrzega przed chorobą albo uczy, że nie wolno dotykać gorącej kuchenki. Czasem jednak ból pojawia się bez znanej przyczyny i nie chce ustąpić, choć rana już się zagoiła.

Co takiego dzieje się w organizmie, że zaczynamy odczuwać ból?

W skórze, mięśniach, stawach i narządach wewnętrznych mamy maleńkie „czujniki bólu". Kiedy się skaleczymy, oparzymy albo w ciele rozwija się stan zapalny, uszkodzone tkanki wydzielają substancje chemiczne, które te czujniki pobudzają. Czujnik zamienia ten bodziec na sygnał elektryczny i wysyła go nerwami do rdzenia kręgowego, a stamtąd do mózgu. Jedne nerwy przewodzą sygnał szybko – stąd nagły, ostry ból zaraz po uderzeniu. Inne robią to wolniej – stąd tępy, rozlany ból, który pojawia się chwilę później. W rdzeniu kręgowym działa coś w rodzaju bramki: sygnał może zostać tam wzmocniony albo wyciszony, zanim w ogóle dotrze do mózgu. Duże znaczenie mają też emocje. Stres, lęk czy skupianie się na bólu mogą go nasilać, a mózg potrafi sam wytwarzać naturalne substancje przeciwbólowe, tak zwane endorfiny. Dopiero gdy sygnał dotrze do mózgu, czujemy ból – wiemy, gdzie boli, jak mocno i jak się z tym czujemy. Na to, jak ktoś przeżywa ból, wpływ mają trzy czynniki: organizm człowieka (np. geny i działanie mózgu), psychika (np. nastrój i stres) oraz otoczenie (np. to, czy ktoś ma wsparcie bliskich czy go nie ma). Dlatego leczenie bólu zawsze trzeba dopasować do konkretnego człowieka.

Jakie są rodzaje bólu?

Najprościej podzielić ból według tego, jak długo trwa i jak często wraca. Ból ostry pojawia się nagle i mija, gdy jego przyczyna zostanie wyleczona. Typowe przykłady to naciągnięty mięsień, złamanie, zabieg stomatologiczny, operacja, poród, infekcja czy oparzenie. Ból przewlekły trwa ponad trzy miesiące albo dłużej niż powinno trwać gojenie. Mogą go powodować choroby kości i stawów, uszkodzenia nerwów, bóle krzyża, nowotwory, a także źle leczony ból po operacji. Bywa, że ból ostry nie mija i zamienia się w przewlekły. Można też mieć kilka rodzajów bólu jednocześnie. Ból można też podzielić według tego, skąd się bierze: ból z uszkodzenia tkanek, np. po skaleczeniu, przy infekcji, złamaniu czy zwyrodnieniu stawów. Może być ostry, kłujący, tępy albo pulsujący, ból z uszkodzenia nerwów, np. przy cukrzycy, półpaścu czy rwie kulszowej. Często piecze, mrowi albo „strzela" jak prąd; ból wynikający z tego, że układ nerwowy zaczyna „źle odczytywać" sygnały, choć nie ma urazu ani stanu zapalnego. Tak jest na przykład w fibromialgii, zespole jelita drażliwego czy niektórych przewlekłych bólach krzyża.

Czy pacjenci z bólem przewlekłym znajdują skuteczną pomoc w systemie?

Osoby chore przewlekle leczą się u lekarza rodzinnego, który zwykle przypisuje tabletki przeciwbólowe, lub leczą się sami. Mnóstwo leków przeciwbólowych dostępnych jest bez recepty. Chorzy cierpiący kupują masę leków, które zawierają dwie, trzy substancje czynne pod różnymi nazwami. Na przykład ibuprofen czy paracetamol jest w wielu różnych preparatach, z czego chorzy nie zdają sobie sprawy. W efekcie przyjmują je w ilościach znacznie przekraczających dopuszczalne dawki, co jest bardzo szkodliwe. Skutkiem ubocznym ich stosowania są krwawienia z przewodu pokarmowego, uszkodzenie wątroby, niewydolność nerek. Statystyki nie pozostawiają złudzeń: co trzeci Polak cierpiący na ból przewlekły nadużywa leków przeciwbólowych bez konsultacji lekarskiej.

Jakie są konsekwencje niedoleczonego bólu?

W wielu przypadkach ból staje się źródłem cierpienia i chorobą samą w sobie, którą trzeba oceniać i leczyć tak samo, jak każdą inną chorobę. Najczęściej usunięcie przyczyny bólu powoduje, że on ustępuje. Ale jest też grupa chorych, u których ten ból tak deprecjonuje osobowość człowieka, że nie jest on w stanie funkcjonować, szuka więc wszędzie pomocy. To, jak leczymy ból, jest miarą jakości opieki zdrowotnej: ból odbija się na zdrowiu psychicznym, na relacjach. Ból trzeba leczyć, bo on opóźnia procedury diagnostyczne.

Czy pacjenci umniejszają swój ból? Boją się, że wyjdą na „kapryśnych" albo „słabych"?

Bardzo często. Wstydzą się, boją się oceny, mają złe doświadczenia albo wynieśli z domu przekonanie, że trzeba być twardym. Mówią wtedy, że boli mniej niż boli naprawdę, a to utrudnia leczenie, szczególnie u kobiet.

Na ile ważne jest uczenie pacjentów, jak radzić sobie z bólem?

Bardzo ważne. Taka rozmowa powinna się odbyć tam, gdzie pacjent przychodzi z bólem. Już u lekarza rodzinnego chory powinien usłyszeć od lekarza lub pielęgniarki, jak obserwować swój ból, jak go oceniać w skali i jakie są sposoby na jego złagodzenie – z lekami i bez nich. Pamiętajmy, że zdenerwowany człowiek, w każdym wieku, może po prostu nie zapamiętać wszystkiego. Nie można go zasypywać nazwami leków i skal, a ulotki trzeba dopasować do wieku.

Jak pielęgniarka może pomóc pacjentowi, którego boli?

Pacjent musi wiedzieć, że powinien nam mówić, kiedy boli i kiedy ból się zmienia. Nie zawsze da się usunąć ból całkowicie. Dlatego pacjent, rodzina i pielęgniarka wspólnie ustalają, jaki poziom bólu jest do zniesienia i pozwala wracać do zdrowia. Leki to nie wszystko. Pielęgniarka może zauważyć, że pacjentowi przeszkadza coś jeszcze: niewygodna pozycja, pragnienie czy potrzeba skorzystania z toalety. Ogromne znaczenie ma też czas na rozmowę: wysłuchanie obaw, zapewnienie, że chcemy pomóc, i ustalenie, co dalej. Wielu pacjentów ma też własne, sprawdzone spo-

eprasa.pl 8302397b81

soby na ból bez leków, więc zanim coś doradzimy, warto zapytać, co im dotąd pomagało.

Jaką rolę pełnią pielęgniarki w monitorowaniu i leczeniu bólu?

Kiedy widzimy pacjenta odczuwającego ból, zwłaszcza silny, powinniśmy jak najszybciej podjąć działania, które go złagodzą, tak aby pacjent czuł się komfortowo. Personel pielęgniarski odpowiada za monitorowanie i ocenę reakcji pacjenta na wdrożone leczenie. Planując opiekę, musimy ocenić, z jakim pacjentem mamy do czynienia: jego wiek, stan kliniczny i funkcje poznawcze. Problem pojawia się u pacjenta w podeszłym wieku z zaburzeniami funkcji poznawczych. Opierając się na subiektywnej ocenie samego pacjenta, pielęgniarka ocenia na przykład ruchy ciała, wyraz twarzy czy problemy z zasypianiem. Najpierw trzeba jednak ocenić funkcje poznawcze: czy zaburzenia są łagodne, czy zaawansowane, czy wynikają z choroby podstawowej, czy są przejściowe, na przykład po operacji. U dzieci, ale też u osób starszych z łagodnymi lub umiarkowanymi zaburzeniami poznawczymi, stosuje się skale obrazkowe. Badania pokazują, że skale z mniejszą liczbą pozycji są łatwiejsze, szybsze, czulsze i lepiej sprawdzają się w praktyce. Rozwój technologii daje dostęp do obiektywnych metod monitorowania Sztuczna inteligencja pozwala oceniać ból za pomocą systemów wideo lub głosowych, zwłaszcza u pacjentów z zaburzeniami poznawczymi.

Jak powinna wyglądać współpraca wszystkich, którzy opiekują się pacjentem z bólem?

W Polsce odrębne zespoły leczenia bólu mają tylko pojedyncze szpitale. Leczenie opiera się głównie na opiece pielęgniarskiej nadzorowanej przez anestezjologa lub chirurga, podobnie jak w tańszym modelu skandynawskim. Współpraca lekarz – pielęgniarka zdecydowanie wymaga wzmocnienia. Powinna opierać się na dojrzałych relacjach, wzajemnym zaufaniu i szacunku dla odmiennych punktów widzenia. Międzynarodowe Stowarzyszenie Badań nad Bólem popiera tworzenia poradni typu centrum leczenia bólu jako miejsca, w których razem pracują lekarze, pielęgniarki, specjaliści zdrowia psychicznego i fizjoterapeuci. Taka współpraca lepiej wykorzystuje umiejętności zespołu i zapewnia dobrą opiekę. Barierą jest brak chęci do współpracy ze strony specjalistów.

Czy prawidłowe leczenie bólu daje efekty?

Właściwie dobrane leki, podawane w odpowiednich odstępach, przynoszą dużą ulgę większości pacjentów. Miernikiem jakości są ankiety satysfakcji pacjentów: jeśli spada zadowolenie z leczenia bólu, warto dokładniej przyjrzeć się procesom. Nowe leki i techniki, takie jak znieczulenie zewnątrzoponowe czy ciągłe blokady regionalne, są skuteczniejsze, ale droższe. Czasem jednak droższy lek pozwala uniknąć działań niepożądanych, co również obniża koszty. Dobrym przykładem jest Serbia, gdzie w 10 szpitalach sieci PAIN OUT stosuje się pakiet złożony z czterech elementów: informowanie pacjentów o możliwościach łagodzenia bólu, pełną dawkę dobową nieopioidowych leków przeciwbólowych, blokady regionalne oraz ocenę bólu pooperacyjnego. Badanie z 2023 roku wykazało, że to opłacalna strategia.

Czy wiedza pielęgniarek o leczeniu bólu jest wystarczająca?

Kilka lat temu prowadziłam ogólnopolskie badania porównujące bariery w szpitalach z certyfikatem „Szpital bez bólu" i bez niego. Najczęściej wskazywano: zbyt mało czasu na poznanie natężenia bólu u starszych pacjentów, nieufność lekarzy wobec oceny bólu dokonanej przez pielęgniarki oraz brak możliwości konsultacji z farmaceutą klinicznym. Kluczowym problemem jest obciążenie pracą: pielęgniarki nie mają czasu.

Dobre leczenie bólu się opłaca?

Szpitale powinny w to inwestować. Prostym sposobem na to, żeby sprawdzić, jak szpital sobie radzi, są ankiety wśród pacjentów. Jeśli spada zadowolenie z leczenia bólu, trzeba przyjrzeć się, co nie działa. Nowsze metody to na przykład pompa, z której pacjent sam, jednym przyciskiem, dawkuje sobie lek przeciwbólowy w bezpiecznych granicach, czy znieczulenie podawane cewnikiem przy kręgosłupie lub przy nerwach. Czasem jednak droższy lek pozwala uniknąć skutków ubocznych, a więc dodatkowych kosztów. Potrzebujemy dobrych ośrodków szkoleniowych, z doświadczonymi wykładowcami i sprzętem do ćwiczeń, na którym można na przykład nauczyć się obsługi wspomnianej pompy przeciwbólowej. Potrzebne są warsztaty z oceny bólu u dorosłych i dzieci na intensywnej terapii oraz u osób, które same nie powiedzą, że je boli. Przez lata brakowało też książek dla pielęgniarek, bo o bólu pisano głównie dla lekarzy.

Czy wielu pacjentów potrzebuje leczenia wporadniach leczenia bólu?

Bardzo dużo, szczególnie gdy możliwości diagnostyczne w przychodniach podstawowej opieki zdrowotnej się wyczerpią albo leki powodują u chorego działania niepożądane. W Polsce mamy zdecydowanie za mało poradni leczenia bólu. Miliony Polaków z bólem przewlekłym cierpią, bo brakuje im dostępu do wielokierunkowej opieki. Czas oczekiwania na wizytę w publicznej poradni leczenia bólu może wynosić w skrajnych przypadkach nawet do dwóch lat. Kolejki do poradni walki z bólem są gigantyczne, bo i potrzeby w tym zakresie są ogromne. Czekają w nich pacjenci, którzy mają przewlekłe dolegliwości bólowe. Współczesny człowiek w myśl hasła, które mówi, że trzeba być młodym, pięknym, zdrowym i bogatym, nie akceptuje życia z bólem. A reklamy, magazyny i poradniki przekonują;„Posmaruj maścią kolana, a będziesz mógł kopać w ogródku i szaleć z wnukami". I ludzie tego oczekują.

NASZ PATRONAT 0311560081

Biopaliwa zmienią rynek paliw. ORLEN rozwija niskoemisyjne technologie

Biopaliwa i paliwa syntetyczne będą napędzać transformację transportu i przemysłu. O rozwoju rynku paliw niskoemisyjnych, inwestycjach ORLENU oraz potencjale polskiej bazy surowcowej dyskutowali uczestnicy panelu „Od surowca do rynku – jak powstaje nowa generacja paliw i produktów niskoemisyjnych?".

W dyskusji moderowanej przez Piotra Kiebzaka, członka zarządu WPC Energy Young Professionals Polska, uczestniczyli Tomasz Zieliński, członek rady nadzorczej ORLENU i prezes Polskiej Izby Przemysłu Chemicznego, Sławomir Radoń, dyrektor wykonawczy ds. strategii i innowacji w ORLENIE, oraz Michał Grela, pełnomocnik zarządu ds. realizacji strategii Krajowej Grupy Spożywczej.

Regulacje przyspieszają rozwój paliw odnawialnych

Istotny wpływ na rynek paliw niskoemisyjnych mają regulacje Unii Europejskiej. Tomasz Zieliński zwracał uwagę na znaczenie dyrektywy RED III, określającej cele dotyczące wykorzystania energii odnawialnej i ograniczania emisji gazów cieplarnianych.

– To właśnie regulacje wyznaczają dziś kierunek rozwoju paliw odnawialnych. Cele są bardzo ambitne i dla wielu branż stanowią ogromne wyzwanie – podkreślał. Wśród rozwijanych rozwiązań znajdują się zielony wodór, paliwa syntetyczne i zrównoważone paliwa lotnicze SAF. Dekarbonizacja transportu będzie wymagała różnych technologii, a tempo zmian zależeć będzie od dostępności surowców, infrastruktury oraz możliwości zapewnienia konkurencyjnych cen.

ORLEN rozwija cały łańcuch wartości biopaliw

Sławomir Radoń podkreślał, że rozwój paliw niskoemisyjnych jest ważnym elementem strategii ORLENU. Oprócz inwestycji w moce produkcyjne koncern musi zapewnić dostęp do surowców i sprawną organizację całego procesu.

– Naszym celem jest budowa całego ekosystemu biopaliw, od pozyskania biomasy, przez logistykę i przetwarzanie, po sprzedaż końcowego produktu – mówił.

Osiągnięcie tego celu wymaga współpracy producentów surowców, firm logistycznych i przetwórczych oraz odbiorców paliw. Zintegrowany łańcuch dostaw może zwiększyć efektywność inwestycji i wzmocnić pozycję ORLENU na europejskim rynku, na którym podobne projekty rozwijają również międzynarodowe koncerny energetyczne.



Polskie rolnictwo może wesprzeć rynek biopaliw

Polskie rolnictwo i przemysł rolno-spożywczy mogą odegrać istotną rolę w rozwoju paliw odnawialnych. Michał Grela z Krajowej Grupy Spożywczej zwracał uwagę na możliwości wykorzystania krajowych nadwyżek surowców.

– W wielu obszarach produkujemy nadwyżki surowców, które mogą zostać wykorzystane do produkcji bioetanolu, bioestrów czy innych paliw odnawialnych – mówił. Współpraca energetyki z rolnictwem może ułatwić dywersyfikację dostaw, stworzyć dodatkowe możliwości zagospodarowania produkcji i ograniczyć zależność od importu. Rozwój rynku wymaga jednak uwzględnienia różnic między poszczególnymi rodzajami biopaliw, szczególnie konkurencji o oleje roślinne wykorzystywane zarówno w energetyce, jak i przemyśle spożywczym. Ważne pozostaje zatem zachowanie równowagi między potrzebami producentów paliw a bezpieczeństwem żywnościowym.

Młodzi specjaliści potrzebni w transformacji

Panel odbył się w ramach inicjatywy Young Professionals, podkreślającej znaczenie młodego pokolenia dla przyszłości sektora energetycznego. Rozwój biopaliw wymaga współpracy ekspertów z wielu dziedzin, od technologii i inżynierii po logistykę i analizę ekonomiczną.

– Chcieliśmy pokazać, jak bardzo kompleksowy jest proces implementacji biopaliw i jak młodzi profesjonaliści mogą odnaleźć się w tym obszarze – podsumował Piotr Kiebzak.

Transformacja sektora wymaga specjalistów łączących wiedzę techniczną z rozumieniem procesów przemysłowych i rynkowych. Polska ma silne zaplecze przemysłowe i rolnicze, a inwestycje ORLENU mogą wspierać ich rozwój oraz współpracę obu sektorów. O tempie zmian zdecydują jednak także opłacalność produkcji, dostępność surowców i finansowania oraz stabilne regulacje.

eprasa.pl 8302397b81

KARIERA

„Jak taka pchełka biegała za piłką. Wszyscy myśleli, że to chłopak. Tak dobrze jej szło”

Ewa Pajor jest dziś jedną z najlepszych piłkarek świata. Zajęła drugie miejsce w plebiscycie „France Football” o Złotą Piłkę. Gra w Barcelonie, ale nie zapomina o rodzinnej wsi pod Sieradzem. Jej niezwykły talent dostrzegł nauczyciel wychowania fizycznego Piotr Kozłowski, dziś wicestarosta w Poddębicach



FOT. ANNA GRONCZEWSKA

Ewa Kolasa, dyrektorka Szkoły Podstawowej w Wieleninie, którą kończyła Ewa Pajor. Baner przed szkołą mówi sam za siebie: „Nasza Absolwentka, nasza Duma!”

Anna Gronczewska

Pęgów to mała wioska koło Uniejowa. 72 mieszkańców, kilkanaście domów. Ewa Pajor jest dumą Pęgowa. Pani Teresa mieszka na końcu wsi. Gdy słyszy imię Ewy, zaraz się uśmiecha.

– Znam ją od dziecka – zapewnia. – Przychodziła się bawić z moją wnuczką, która jest od niej o rok starsza. Zawsze była sprytna, zwinna, szybka. Miała może z 5 lat, gdy ganiały się z wnuczką po podwórku. Taka była sprytna, że potrafiła przebiec pod krową. Potem wszystkie krowy zamykałam w stodole, by nie doszło do jakiegoś nieszczęścia...

Pani Teresa opowiada, że za płotem zrobiła małe boisko, gdzie Ewa grała w piłkę z chłopakami i jej wnuczką.

– Jak teraz przyjeżdża do Pęgowa, to biega drogą w stronę lasu i z powrotem – opowiada pani Teresa. – Ale jak mnie spotka, to przystaje, porozmawia. Choć jest bardzo znana, to się nie zmieniła, została naszą Ewą.

Najmłodsza z piątki dzieci

Rodzinny dom Ewy Pajor stoi na początku wsi. Duży, piętrowy, pomalowany na zielono. Przed domem pasie się kilkanaście byków.

– Rodzice i brat Ewy hodują bydło, mają ze 120 sztuk – tłumaczą sąsiedzi Pajorów.

Mówią, że ojciec piłkarki Janusz pochodzi z Pęgowa, mama Krystyna z Podkarpacia. Przyjechała tu za mężem. Mają pięcioro dzieci. Ewa jest najmłodsza.

– Pamiętam jak mama Ewy przychodziła z nią w ciąży do sklepu, który prowadziłam – wspomina pani Teresa.

Rok starsza od Ewy jest Paulina. Tak jak Ania wybudowała sobie w Pęgowie, niedaleko rodzinnego gospodarstwa, dom. Został na nim brat Piotrek. Najstarsza Kasia mieszka dziś we Francji.

Podwórko domu rodziców i brata Ewy Pajor jest duże. Biegają po nim dwa małe kotki. Na drzwiach stodoły stoi bramka. Kiedyś były tam wymalowane jej kontury. To do niej strzelała pierwsze gole mała Ewa.

– Pamiętam jak razem z moim synem kopała na łące piłkę – wspomina jeden z sąsiadów. – U Pajorów nie było specjalnych tradycji sportowych, choć bratanek jej ojca pojechał do Łodzi grać w piłkę. Ewa przy gospodarstwie nie pracowała. Kiedyś częściej do domu przyjeżdżała, ale nie zapomina, skąd pochodzi. Sława jej nie zmieniła.

Krystyna Pajor, mama Ewy, wychodzi w spodniach dresowych z logo FC Barcelona. To temu klubowi kibicuje niemal cała okolica. Mama nie lubi rozmawiać z dziennikarzami. Tłumaczy, że powie się im jedno, a potem co innego się czyta. Jest wysoką, ładną kobietą. Ewa jest podobna do mamy.

– Mamy pięcioro dzieci, trzeba było je wychować, a jeszcze mieliśmy na głowie gospodarstwo – mówi Krystyna Pajor.

Rodzice są dumni nie tylko z Ewy, ale wszystkich dzieci.

Z Wielenina w świat

Wielka kariera Ewy Pajor zaczęła się w niewielkiej Szkole Podstawowej im. generała Szczepana Ścibora w Wieleninie. W chodzących wita wielki baner ze zdjęciem Ewy w koszulce Barcelony. Ewa Kolasa od czterech lat jest tu dyrektorką.

– Ewa nas odwiedza, zazwyczaj jest na zakończeniu roku szkolnego – dodaje. – Ona ma wielką pokorę w tym co robi. Często mówi o naszej szkole, pamięta o tym, że zaczynała na naszym szkolnym boisku w Wieleninie. Jesteśmy bardzo dumni z tego, co osiągnęła.

W szkole Wieleninie jej talent dostrzegł Piotr Kozłowski, wtedy nauczyciel wychowania fizycznego, dziś wicestarosta poddębicki.

– Pamiętam jak zaczęła się jej piłkarska przygoda – opowiadała nam Elżbieta Goszczyk, była dyrektor Szkoły Podstawowej w Wieleninie, z czasów gdy uczyła się w niej Ewa Pajor. – Jak taka pchełka biegała za piłką. Wszyscy myśleli, że to chłopak. Tak dobrze jej szło. Grała nawet z dorosłymi. Jak choćby podczas imprezy na Dzień Dziecka, gdzie uczniowie grali przeciw rodzicom.

Była dyrektor szkoły w Wieleninie zauważała, że choć w rodzinie Ewy są cztery dziewczyny i jeden chłopak, to w piłkę grały tylko one.

– Kopała ją też o rok starsza siostra Ewy, Paulina, a ich brat Piotrek jakoś smykałki do sportu nie ma – śmiała się Elżbieta Goszczyk.

Gdyby nie Piotr Kozłowski

Pierwszym przystankiem na piłkarskiej drodze Ewy był Konin. Grała w tamtejszym Medyku. Prezes, a także były trener tego klubu Roman Jaszczak, nie uważa się jednak za odkrywcę talentu dziewczyny. Jest nim Piotr Kozłowski.

– Zadzwonił do nas i powiedział, że ma fajną, utalentowaną dziewczynę – opowiadał nam Roman Jaszczak. – Ewę chciała też Łódź, Sieradz, ale zdecydowali się na Konin. Była w czwartej klasie szkoły podstawowej, gdy Piotr Kozłowski zaczął przywozić ją na zgrupowania, obozy kadry województwa wielkopolskiego młodziczek do lat 13.

Piotr Kozłowski, odkrywca talentu Ewy, mówi, że o wszystkim zadecydował przypadek. Dziewczyna miała osiem lat, uczyła się w drugiej klasie szkoły podstawowej. Pan Piotr prowadził zajęcia na świetlicy. Dzieci zaczęły grać w piłkę. Od razu zwrócił uwagę na Ewę. Miała niesamowitą smykałkę, piłka wręcz kleiła się jej do nóg.

– Miała zresztą generalnie dryg do sportu – opowiada Piotr Kozłowski. – Wszystko w mig łapała. Zresztą do dziś dobrze gra w siatkówkę, koszykówkę, jest niesłychanie sprawna.

Początkowo Ewa i inne dzieci bawiły się tylko grając w piłkę nożną, Z czasem pan Piotr utworzył grupę sportową i zaczął piłkarskie treningi. Ewa trenowała ze starszymi od siebie o rok, dwa chłopcami.

– Sam trening nie wystarczał, Ewie potrzebne były mecze – dodaje Piotr Kozłowski. – Chcieliśmy, by grała w drużynie razem z chłopcami. Ale w Łódzkim Związku Piłki Nożnej usłyszeliśmy, że to niemożliwe, nie zezwalają na to przepisy. W tym czasie o Ewie Pajor usłyszeli trenerzy i działacze Medyka Konin.

To Piotr Kozłowski woził ją na zgrupowania, obozy.

– Rodzice nie przeszkadzali – tłumaczy pan Piotr. – Są rolnikami, mają dużo pracy gospodarstwie. Nawet nie mieli możliwości, by dowozić ją na mecze, treningi. Poza tym nie znali się na sporcie, nie interesowali się nim specjalnie. Jestem wdzięczny, że mi zaufali. Mało kto oddałby 10-letnie dziecko człowiekowi, którego wtedy niespecjalnie znali, by woził je na obozy, turnieje.

Przystanek Konin

Kiedy Ewa skończyła szkołę podstawową, trzeba było podjąć decyzję do dalej. W Koninie czekało na nią gimnazjum, miejsce w internacie. Ale Ewa miała dopiero 12 lat, a Konin od jej rodzinnego Pęgowa dzieliło siedemdziesiąt kilometrów.

– Wtedy jej rok starsza siostra, Paulina zdecydowała, że pojedzie z Ewą – wspomina Piotr Kozłowski. – Paulina uczyła się w gimnazjum w Uniejowie, ale po pierwszej klasie przeniosła się z siostrą do Konina.

W Koninie Ewa zaczęła się uczyć w tamtejszym gimnazjum sportowym nr 6 i razem z 70 koleżankami zamieszkała w internacie.

– To wyjątkowa dziewczyna – mówił nam o Ewie Roman Jaszczak. – Jest wielu sportowców, którzy na treningach są mistrzami. Kiedy jednak wychodzą na boisko, zżera ich stres, nerwy. Aż się nie chce wierzyć, że to ten sam zawodnik. Z Ewą jest inaczej. Ona na treningu była średnia, nawet przeciętna. Ale wchodzi na boisko i jest najlepsza!

Roman Jaszczak pamięta dobrze Ewę z czasów, gdy zaczynała taką poważną przygodę z piłkę. Wspomina, że był z niej taki chłopiec.

– Często do piłki nożnej garnęły się dziewczynki, które miały niewiele wspólnego z kobiecością – mówił nam Roman Jaszczak. – Bałem się, że tak będzie z Ewą. Nic takiego jednak się nie stało. Ewa przeistoczyła się władną, wrażliwą i ciepłą dziewczynę.

W gimnazjum nauka nie była jej mocną stroną. Lubiła podkreślać, że zostanie piłkarką. Na szczęście się to zmieniło. Ewa postanowiła zdać maturę. Już w liceum była dobrą uczennicą.

Gwiazda Barcelony

Z czasem marzeniem Ewy stał się wyjazd za granicę. W 2015 roku Ewa Pajor została piłkarką niemieckiego VfL Wolfsburg. Z tą drużyną pięć razy zdobywała Mistrzostwo Niemiec, dziewięć razy puchar tego kraju. Dla Wolfsburga rozegrała 196 meczów i strzeliła 136 bramek. Od 2024 roku jest zawodniczką FC Barcelona. Zdążyła już dla tego klubu strzelić 25 bramek. Została razem z FC Barcelona mistrzynią Hiszpanii, wygrała Ligę Mistrzyń.

W 2007 roku razem z koleżankami z reprezentacji U 17 zdobyła mistrzostwo Europy i była jedną z najlepszych piłkarek turnieju. W lipcu polska kobieca kadra zagrała pierwszy raz w historii w mistrzostwach Europy. Ewa była kapitanem reprezentacji. 3 grudnia Ewa Pajor skończy 30 lat. Także w grudniu z reprezentacją Polski zawalczy, by spełnić kolejne marzenie: zagrać w koszulce z orzełkiem na piersi w mistrzostwach świata.

eprasa.pl 8302397b81

PRZYRODA I GOSPODARKA

„Szerszeń zero” zlikwidowany, ale jaka będzie wiosna dla naszych pszczół?

Wiadomość o pojawieniu się w Polsce pierwszego gniazda azjatyckiego szerszenia żółtonogiego może zmrozić krew w żyłach. Zimny pot oblał każdego, kto lubi miód i inne produkty pszczele czy też szerzej – kto zdaje sobie sprawę z roli zapylaczy dla środowiska naturalnego. Tymczasem przybysz z Azji połyka pszczoły w całości. O to, czy jest się czego bać, zapytaliśmy znanych malborskich pszczelarzy

Radosław Konczyński



FOT. MINISTERSTWO KLIMATU

Intruz, o którym ostatnio dużo się mówi: azjatycki szerszeń żółtonogi

Na polskich pszczelarzy padł strach, gdy usłyszeli, że w naszym kraju niedawno wykryto pierwszy przypadek gniazda azjatyckiego szerszenia żółtonogiego. To zabójca pszczół. Potrafi pożreć ją w locie albo „bezczelnie” zasadza się przy wejściu do ula i atakuje owady powracające z nektarem.

– Te szerszenie potrafią niszczyć całe pasieki. On jest trochę mniejszy od szerszenia, który w Polsce występuje. Różni się trochę wyglądem. Jest ciemniejszy, ma cały ciemny grzbiet i jasną pręgę na odwłoku, charakterystyczne pomarańczowe kończyny. Pszczelarz spod Krakowa już widocznie miał taką wiedzę, zaobserwował, że krąży taki szerszeń i poluje na jego pszczoły. Powiadomił odpowiednie instytucje, naukowców. Przyjechali i złapali go, ale później trzeba było zidentyfikować gniazdo. Zainstalowali chyba GPS na tym szerszeniu i tak dotarli do gniazda, które znajdowało się na wysokości kilkudziesięciu metrów, na wysokim drzewie. Kokon miał jasną barwę, więc trudno było go znaleźć wśród żółtych liści w koronie drzew – opowiada Piotr Sobuń, znany malborski pszczelarz.

Plaga we Francji

Ministerstwo Klimatu i Środowiska poinformowało w tym tygodniu, że gniazdo zostało zniszczone. Na razie był to tylko ten jeden potwierdzony przypadek na południu Polski. W pozostałych regionach, w tym na Pomorzu, nie stwierdzono tego zagrożenia.

– Można to porównać do „pacjenta zero”, taki „szerszeń zero”. Nasze instytucje skontaktowały się ze specjalistami z Francji, bo tam panuje plaga, pasieki są niszczone przez szerszenie azjatyckie. Pszczelarze mają już zabezpieczenia na ulach, montują siatki, pułapki, ale mimo wszystko notują duże straty. Wiem, że w Czechach też została stwierdzona jego obecność. Co to za problem, żeby taki szerszeń dostał się gdzieś na tira i przejechał wiele kilometrów? Dlatego ważne było, żeby w przypadku tego „pacjenta zero” w naszym kraju jak najszybciej zniszczyć jego gniazdo. Teraz, jesienią, roi się pokolenie królowych. One opuszczają gniazdo i na wiosnę każda zakłada swoją rodzinę. Wtedy liczba gniazd przyrastałaby w szybkim tempie – tłumaczy Piotr Sobuń.

To jest wielkie zagrożenie dla pszczelarzy, ale nie tylko dla nich. W ciepłych okresach dużo zgłoszeń do owadów błonkoskrzydłych w celu usunięcia gniazd otrzymuje straż pożarna.

– Największa polska firma pszczelarska już nawet zaprojektowała i opracowała specjalny kombinezon dla strażaków do likwidacji gniazd szerszeni azjatyckich. Te owady mają dłuższe żądło. Dlatego nowy kombinezon jest grubszy, przypomina trochę skafander kosmiczny – mówi Piotr Sobuń.

Patrzymy w taki słoneczny dzień, jak wylatują pszczoły, i cieszymy się, że żyją, że przezimowały, że w ogóle są. To jest takie nasze pierwsze święto.

BOŻENA SOBUŃ
pszczelarka z Malborka

Ministerstwo Klimatu i Środowiska w wydanym w tym tygodniu komunikacie ostrzegawczym uspokaja, że „szerszeń żółtonogi nie jest bardziej agresywny wobec ludzi niż występujący w Polsce szerszeń europejski. Również skutki jego użądlenia są podobne. Szczególną ostrożność powinny zachować osoby uczulone na jad owadów”.

Już jest inny „destruktor”

Już teraz nie brakuje wyzwań, wśród krtórych na pierwszy wysuwa się walka z warrozą, chorobą pszczół miodnych wywoływanych przez pasożyta, małych roztoczy bytującego na ich .

- Żeby to jakość zobrazować, wyobraźmy sobie dłoń położoną na naszym ciele. Proporcjonalnie tyle miejsca zajmuje warroza na korpusie pszczoły i takich „dłoni” jest na niej kilka, 4-5. Roztocza odżywiają się ciałem tłuszczowym pszczoły. Łacińska na „Varroa destructor” wiele mówi. Pasożyt po prostu powoduje destrukcję pszczelej rodziny – mówi Piotr Sobuń.

A to może powodować wymierne straty w pasiekach, czyli mniejsze ilości miodu i innych produktów. Na szczęście, warrozę się leczy.

- Kupujemy lekarstwa u weterynarzy, które dzięki programowi wsparcia pszczelarstwa są w pewnym stopniu refundowane. My na przykład stosujemy do walki z warrozą kwas mrówkowy albo kwas szczawiowy. To są naturalne, ekologiczne środki. Najczęściej powinno się już na początku sierpnia rozpocząć leczenie, żeby nie doprowadzić do dużego zarażenia. Zawsze leczy się po miodobraniu – tłumaczy malborski pszczelarz.

Rolniku, uważaj na pszczołę

Pszczelarze przypominają też, że dużym zagrożeniem dla ich podopiecznych może być nieświadomość rolników, którzy stosują oprysk w porze, gdy owady pracują na polach.

- Substancja chemiczna może nawet nie zaszkodzić pszczole, ale jeśli będzie opryskana, potem nie zostanie wpuszczona do swojej rodziny. Wystarczy na przykład, że jest pole rzepaku, a obok pszenicy. Rolnik się tłumaczy, że on rzepaku nie pryskał, tylko pszenicę. Ale jak pszczoła będzie na rzepaku i musi lecieć do pasieki nad pszenicą, to złapie tego zapachu. Pszczoły-strażniczki w ulu już jej nie wpuszczą, bo nie pachnie jak domowa i będą ją traktowały jak wroga. Nie będą wpuszczone i umierają, ale mogą też być zażądlone przez strażniczki – wyjaśnia Piotr Sobuń.

Wrogiem pszczelarza i pszczół, oprócz natury i chemii, mogą być też... przepisy nieprzystające do życia i dezinformacja.

- Oby tylko nam nie przeszkadzały przepisy unijne i inne dziwne pomysły, żeby robić miody bez pszczół, z jakichś chińskich syropów. Nie wierzcie, że miodu jest za mało. Polskie pszczelarstwo produkuje bardzo duże ilości bardzo dobrych miodów i jesteśmy w stanie zaspokoić potrzeby. Ci, którzy mówią, że miodu jest za mało, robią to tylko dlatego, żeby sprowadzić z zagranicy więcej miodu importowanego. Taka moja sugestia: kupować od znajomych pszczelarzy, zaprzyjaźnionych. Nie szukać w marketach czegoś, co jest wyrobem nie wiadomo jakim – podkreśla Bożena Sobuń. - Pamiętajmy też, że pszczoły przede wszystkim są zapylaczami. Dzięki nim mamy owoce i warzywa.

Obecnie w pasiekach panuje spokój. Pszczoły nakarmione syropem cukrowym są przygotowane do zimowania.

- Nie zaglądamy ju ż do nich, nie niepokoimy, czekamy do pierwszego oblotu. To będzie pierwszy ciepły dzień w przyszłym roku, gdy temperatura powietrza przekroczy 10 stopni Celsjusza, czyli w lutym. Patrzymy w taki słoneczny dzień, jak wylatują pszczoły, i cieszymy się, że żyją, że przezimowały, że w ogóle są. To jest takie nasze pierwsze święto - mówi pani Bożena.

Niestety - tu wróćmy do zagrożenia z Azji - pszczelarze będą musieli być wyczuleni na szerszenia żółtonogiego.Likwidacja pierwszego gniazda nie oznacza, że sprawa jest zamknięta.

- Pierwsze w Polsce gniazdo azjatyckiego szerszenia żółtonogiego zostało szybko usunięte. Nie można jednak wykluczyć, że część młodych królowych wcześniej opuściła gniazdo i rozpoczęła zimowanie. Dlatego wiosną mogą pojawić się nowe gniazda - ostrzega Ministerstwo Klimatu i Środowiska.

eprasa.pl 8302397b81

GWIAZDA TYGODNIA

Patrycja Markowska: Nigdy nie idę utartymi ścieżkami, które się sprawdziły

Aż trudno w to uwierzyć: śpiewa dla nas już ćwierć wieku. Z tej okazji wydała koncertowy album „25 lat" oraz wyruszyła w jubileuszową trasę z akustycznymi występami. Dla nas wspomina początki swej kariery, kiedy słynny tata powiedział jej „Radź sobie sama"

Paweł Gzyl

Obchodzisz właśnie jubileusz 25-lecia swej muzycznej kariery. Nie każdemu artyście udaje się przetrwać na rynku tyle czasu. W czym tkwi tajemnica twego sukcesu?

Mam w sobie jakiś wewnętrzny motor, który sprawia, że ciągle czuję niedosyt. To jest coś upiornego w normalnym życiu, bo ciężko jest odpocząć i znaleźć równowagę. Przydaje się jednak w pracy. Bo mam duszę Vasco Da Gamy czy Kolumba – i lubię cały czas odkrywać nowe lądy. Kiedy nagrywałam swoje pierwsze płyty, nie brałam czynnego udziału w każdym etapie prac nad nimi. Byłam nieopierzonym kurczakiem i oddawałam producentom i menedżerom ogromne pole. O większości rzeczy decydowano za mnie, a ja myślałam, że tak powinno być. Z każdym rokiem, kiedy dojrzewałam życiowo i artystycznie, przejmowałam odpowiedzialność za kompozycje, teksty, aranże, a nawet social media i światło na scenie. I to mnie rajcowało przez te lata. Nigdy nie stało się to dla mnie codzienną pracą i znojem, tylko przynosiło mi radość. Cieszyłam się wszystkim, co mi wyszło. Nigdy nie oczekiwałam też wodotrysków. Radość przynosiły mi małe sukcesy. Choć muszę przyznać, że zdarzały się też te duże. Dla mnie to było zagrać suport przed Lenny Kravitzem, to, że zadzwonił Ray Wilson śpiewający w Genesis i zaproponował duet, to, że Leszek Możdżer chciał nagrać coś razem i to, że zawsze dużo grałam i było zapotrzebowanie na moje koncerty. To wszystko dawało mi wiatr w żagle przez te 25 lat.

Najważniejszym punktem twego jubileuszu jest podwójny album zarejestrowany podczas wyjątkowego koncertu w TVP. To było spełnienie marzeń?

Ogromne! Dzisiaj jestem w kompletnie innym miejscu jako wokalistka i jako muzyk niż w 2001 roku. Dlatego, jeśli ktoś chce dowiedzieć się, jaka teraz jestem, musi posłuchać tego koncertowego albumu. Tam są moje dawne przeboje, ale w aranżacjach skrojonych na dzień dzisiejszy. Kiedyś inaczej śpiewałam takie piosenki, jak „Drogi kolego" czy „Świat się pomylił". Tymczasem na tym nowym albumie jest aktualna Patrycja Markowska. Dlatego tak cieszę się, że ten koncert odbył się i ukazał teraz na płycie.

Podczas koncertu zabrzmiały twoje największe przeboje, ale i mniej znane i czasem zaskakujące piosenki. Czym się kierowałaś, układając ten program?

Na pewno chciałam dać fanom moje największe przeboje, bo to przecież bardzo ważne utwory na tej mojej 25-letniej drodze. Ale sięgnęłam też po piosenki, które były dla mnie osobiście przełomowe. To wspomniane nagranie z Leszkiem Możdżerem nie było hitem, ale to istotne nagranie w mojej karierze. Podobnie „Hotelowe korytarze", kończące tę płytę, jeden z najważniejszych utworów w moim repertuarze, albo piosenka „Coraz mniej" z płyty „Droga", nagrana z moim tatą.

Koncert był podzielony na dwie części: akustyczną, bardziej intymną oraz elektryczną i rockową. W której czułaś się bardziej sobą?

Na pewno bardziej wymagająca była ta część akustyczna. Bo wtedy jesteś po prostu na widelcu. Intymne, bardziej oszczędne aranżacje zawsze wymagają większego skupienia. Do tego publiczność jest blisko. Wszystko opiera się na emocjach, a ja otwieram całe serducho – to kosztuje. Ale to nie znaczy, że podczas akustycznego występu nie może być rockandrollowo. W ciągu tych 25 minionych lat grałam bardzo dużo koncertów akustycznych i elektrycznych. Dlatego obie te odsłony są mi bliskie. Chciałam więc pokazać je obie podczas jubileuszowego koncertu.

Nieco inaczej śpiewasz w tej części akustycznej, a nieco inaczej w tej rockowej. To właśnie owo 25-letnie doświadczenie pozwala ci tak świadomie operować głosem?

Pracuję cały czas nad swoim głosem, bo przecież jest to mięsień i trzeba go trenować. To tak samo jak z ćwiczeniami na siłowni. A robię to, żeby nie zdzierać gardła i nie wykańczać głosu. Ludzie znają dobrze piosenkę „Świat się pomylił" i kiedy usłyszeli ją w nowej wersji, pomyśleli, że jestem przeziębiona (śmiech). Tymczasem ja przez te lata się zmieniłam. Zmieniła się moja barwa, podejście do śpiewania, do aranżacji. Dziś moje numery są bardziej rockowe i pasuje do nich chropowaty wokal. Ale ja lubię tę wolność – to, że nigdy nie idę utartymi ścieżkami, które się sprawdziły. Dojrzałam, zostałam mamą, dużo czytam. To ma wpływ również na moje teksty. Śmieszy mnie, kiedy ktoś porównuje moje nagrania sprzed 20 lat i to, jak teraz śpiewam. To tak, jakby porównywać Miley Cyrus z czasów „Hanny Montany" z tym, co robi obecnie. Ale oczywiście u nas każdy jest specem w każdej dziedzinie. (śmiech)

Na twym jubileuszowym koncercie nie zabrakło gości: był Leszek Możdżer, Ray Wilson, Kamil Bednarek, Andrzej Krzywy, Dawid Karpiuk. Który duet wywołał ci ciarki na plecach?

Z ręką na sercu mogę przyznać, że ten z Leszkiem, ponieważ wykonaliśmy ten nasz utwór po raz pierwszy na żywo. Te inne duety już nieraz śpiewałam podczas koncertów. Natomiast z Leszkiem spotkaliśmy się kiedyś tylko w studiu i dopiero teraz pierwszy na scenie. Ja go uwielbiam prywatnie, ale nie wiedziałam, jak się zachowa: czy aby nie będzie zamknięty w sobie i niedostępny. Jestem na to bardzo czuła. Jestem z natury nadwrażliwcem i każde jego krzywe spojrzenie od razu odbiłoby się w moim śpiewaniu (śmiech). Ja tak po prostu mam. Kiedy ktoś mi powie coś złośliwego przed wejściem na scenę, to jestem od razu rozłożona na łopatki. Całe szczęście miarą wielkości Leszka w muzyce jest to, jakim jest prywatnie człowiekiem. Wyszedł na bosaka z uśmiechem na twarzy i chyba dał mi najwięcej siły podczas tego koncertu. To było niewiarygodne.

W telewizji można też było zobaczyć, że masz świetnych muzyków w zespole, którzy naprawdę czują to, co śpiewasz.

Wszyscy moi muzycy mają silne osobowości. I to nie jest łatwe. Do tego przyjaźń w zespole jest pewnym obciążeniem. Kiedy masz wynajętych sidemanów, wszystko jest na chłodno, robicie swoje i do widzenia. Ale ja tak nie potrafię. I chyba to jest kolejny powód, za sprawą którego przetrwałam te 25 lat na scenie. Ludzie lubią moje koncerty, bo tam jest energia, radość, pozytywne emocje. Widać, że mam z chłopakami z zespołu dobre relacje. Kiedy powiedziałam im ostatnio, że chcę nagrać płytę „Obłęd" z bardziej elektronicznymi numerami, to oni weszli w to jak w masło. Byli od początku podjarani, cieszyli się tym, bo kochają tworzyć. I to jest też wielka wartość.

Na widowni byli twoi rodzice i twój mąż. Stresowałaś się przez to bardziej niż zwykle?

Jasne! Był też mój syn – widać go przez moment, jak śpiewa „Świat się pomylił". Taki koncert jest najcięższy – na którym pojawia się fanklub, rodzina, przyjaciele i znajomi. Dlatego to nie było łatwe. Musiałam dłuższą chwilę pomedytować, pooddychać i wyciszyć się, zanim weszłam na scenę. Ale bardzo dziękuję Tomkowi Sygutowi, czyli obecnemu dyrektorowi generalnemu TVP, który zorganizował ten koncert, i Julkowi Kaszyńskiemu, który z ramienia Agencji Muzycznej Polskiego Radia wydał go na płycie. Oni obaj powiedzieli: „Tobie należy się taki jubileusz". Nie można chyba było usłyszeć nic wspanialszego.

Teraz będziesz próbowała przenieść atmosferę tego wyjątkowego koncertu na serię jubileuszowych występów w całej Polsce. Co usłyszymy?

Wybierając piosenki na te koncerty, chciałam pokazać to, co teraz gra mi w duszy. Dlatego zaprosiłam jako gości muzyków, którzy z nami na co dzień nie grają – choćby Dawida Broszczakowskiego z zespołu Kamila Bednarka, który ukwiecił ten koncert trąbką i pianinem. Mało tego: w piosence „Dzień za dniem" zabrzmią... dudy. Kiedyś zagraliśmy ją tak na festiwalu Top Trendy w Sopocie i było super. Wróciliśmy więc do tego pomysłu. Brzmi to jak muzyka z „Braveheart", że aż chce się wyjść gdzieś w góry i zaśpiewać. Będzie więc kilka takich zaskakujących momentów. Moja menedżerka Ania zwróciła mi uwagę, że w serwisach streamingowych mój utwór „Kilka prostych prawd" ma kilka milionów odsłon, a dawno go nie grałam. Dołączyłam go więc do programu. To dla mnie niezwykła wartość: że mogę fanom pokazać kim teraz jestem. Te kompozycje, po które sięgniemy, wcale się nie zestarzały. Przetrwały i melodie, i teksty. A teraz na jubileuszowej trasie koncertowej pokażę je w innej, dojrzalszej odsłonie. W chórkach usłyszymy Jovi, która pięknie zadebiutowała piosenką „Size Plus". To dla mnie wzruszające, bo jako dziewczynka śpiewała na festiwalach dziecięcych wiele moich piosenek. I obydwie czujemy, jakie to wspaniałe, że może być teraz z nami na scenie. Zrobiliśmy próby i udało nam się wymyślić jeszcze bogatszy koncert niż ten w telewizji. Te występy będą dłuższe, trzeba więc inaczej rozłożyć napięcie.

Zadebiutowałaś w 2001 roku, mając 22 lata. Jak na dzisiejsze standardy to dosyć późno. To tata nie chciał, byś weszła za wcześnie do show-biznesu?

Tak. I miał w tym dużo racji. Dzisiaj dziękuję mu za to bardzo. Dzięki temu zaczęłam na poważnie pracować w show-biznesie dopiero na studiach. I co najważniejsze – byłam w tym wszystkim zdana tylko na siebie. Ludziom się wydaje, że jak mam znane nazwisko, to tata chodził ze mną na spotkania do wytwórni albo dobierał mi muzyków do zespołu. Tymczasem on powiedział: „Radź sobie sama". Bo taki jest mój tata. Mój mąż ostatnio zauważył: „Teraz, kiedy znam twojego tatę, to zarzut, że pomagał ci w karierze, jest po prostu śmieszny". Byłam więc z tym moim śpiewaniem od początku sama. Stąd zanim zebrałam

eprasa.pl 8302397b81

zespół, zanim grając w garażu zrobiliśmy repertuar, zanim podpisałam kontrakt, to minęły te cztery lata od matury. Tak to się powoli toczyło.

Dorastałaś w domu słynnego rockmana i widziałaś blaski, ale i cienie show-biznesu. Co sprawiło, że jednak uległaś jego urokowi?

Tego się nie da wytłumaczyć. To jest jakieś powołanie i przeznaczenie, w które bardzo mocno wierzę. Po prostu palec Boży. I muszę ci się przyznać, że naprawdę czasem to czuję, kiedy jestem na scenie. Choćby śpiewając z tatą piosenkę „Trzeba żyć". Wiem, że to patetycznie brzmi, ale czuję wtedy, że naprawdę jest coś więcej. Ale cieni w naszej pracy też mamy bardzo dużo. To wykańczający zawód. Pracując z ludźmi, trzeba być wrażliwym i mieć otwarte serce, ale jednocześnie trzeba być twardym, umieć stawiać granice i potrafić znieść wszechogarniający hejt. Zdarza się, że ludzie chcą cię oszukać albo wykorzystać, jest to więc prawdziwy rollercoaster emocji i przeżyć. Miałam przez te 25 lat również dużo trudnych chwil.

Jak wszystkie dzieci gwiazd show-biznesu, musiałaś stoczyć bój o to, by uznano, że twój sukces nie jest zasługą znajomości znanego taty. Udało ci się z tym wreszcie uporać?

A coś ty, to się nigdy nie stanie! Bo nie ma jak się stać. Są tacy, którzy zechcieli mi uwierzyć już dawno, docenili moją muzykę i wrażliwość. To bardzo poruszające. Choćby teraz, kiedy mam jubileuszowe spotkania i ktoś przynosi do podpisu wszystkie moje dwanaście płyt. Czy tak jak ty – rozmawiamy przecież ze sobą regularnie niemal co roku. I czuję twoją obecność, wsparcie i wrażliwość na moje dźwięki. Ale jest też dużo ludzi, dla których jestem tylko córką mojego taty. Musiałam się z tym pogodzić, bo to mi towarzyszy od początku i będzie towarzyszyć do końca. (śmiech)

To dziwne: po 25 latach udanej kariery, nikt nie powinien tak myśleć.

W zeszłym roku wydałam płytę „Obłęd", a teraz koncertowy album jubileuszowy, mam więc sporo aktywności promocyjnych, szczególnie w social mediach. To ogrom pracy. Tymczasem kilka dni temu zajechałam na stację benzynową, idę do kasy, a pani, która tam siedzi, mówi do mnie: „O, pani Patrycja, dlaczego pani ostatnio w ogóle nie śpiewa? Czemu pani w ogóle nie widać?". (śmiech) Zatkało mnie tam i nie wiedziałam co odpowiedzieć. Zamiast zareagować, zabrałam się i wyszłam. Bo ja



FOT. ŁUKASZ URBAŃSKI

Patrycja Markowska: Są tacy, którzy docenili moją muzykę i wrażliwość. Ale jest też dużo ludzi, dla których jestem tylko córką mojego taty. Musiałam się z tym pogodzić, bo to mi towarzyszy od początku

ledwo wiążę koniec z końcem, czyli mam wrażenie, że pracuję za dużo niż za mało. Ale cóż: teraz jest taki zalew różnych informacji, że ktoś może nie wiedzieć, co robię. I to też jest OK.

Takie sytuacje mogą zawsze się zdarzyć.

Niestety. Ale jest też druga strona medalu. Mam przecież takich fanów, którzy jeżdżą za mną setki kilometrów i są na każdym moim koncercie. Trochę mnie to czasem krępuje i martwię się o nich czy mają gdzie spać i czy coś jedli. I do tego czasem zmieniam piosenki na koncercie, tylko po to, by ich zaskoczyć.

Pamiętasz swój pierwszy profesjonalny występ po wydaniu debiutanckiej płyty w 2001 roku?

Pamiętam. Spytaj mnie, ile przyszło osób.

(śmiech) Ile?

Zero. (śmiech) Zagraliśmy w klubie Wektor X w Warszawie dla dwóch pań sprzątaczek i barmana. Tak było. I to mnie nauczyło już na starcie pokory. Ta moja nadchodząca trasa jubileuszowa jest prawie w całości wyprzedana. Zainteresowanie jest ogromne. Do tego gramy w samych wyjątkowych salach. 23 listopada zaśpiewam w Krakowie w kinie Kijów, a finałowy koncert damy 14 grudnia w Cavatina Hall w Bielsku-Białej.

Dałaś się ponieść rock-and-drollowemu stylowi życia, kiedy ten sukces przyszedł?

Cieszyłam się po prostu. To przecież naturalne, kiedy zaczyna się od grania w przydomowym garażu w Józefowie, a z czasem na twoje koncerty zaczynają przychodzić tłumy. Dlatego teraz z dystansem patrzę na wszystkie te programy wokalne typu talent-show. Jego uczestnikom wydaje się, że wygrana to przepustka do wielkich sukcesów. Nic bardziej mylnego. Tam trzeba iść, mając już na siebie pomysł i dobry repertuar. Tak jak było z zespołem LemON. W innych przypadkach szybko okazało się, że ten sukces ma krótkie nogi. Bo dobrze śpiewających ludzi jest w Polsce bardzo dużo. O ciekawy pomysł na siebie i dobry repertuar jest znacznie ciężej. Trzeba też mieć silną osobowość i wbrew pozorom dużo samodyscypliny oraz trochę umiejętności organizacyjnych. Wbrew pozorom w tym chaosie, trzeba sporo ogarniać na co dzień.

Nagrałaś do dzisiaj dziesięć płyt studyjnych i dwie koncertowe, z których największymi bestsellerami były „Świat się pomylił" i „Patrycja Markowska", bo pokryły się platyną. To twoje ulubione albumy?

Moje ulubione płyty to „Alter Ego" i „Obłęd", dlatego, że są nagrane na setkę, są spójne, brałam udział w każdym etapie ich tworzenia i produkcji. One są mniej komercyjne, ale dla mnie najlepsze. I kiedy rozmawiam z muzykami czy dziennikarzami, to często się ze mną zgadzają.

Też bym tak powiedział.

No właśnie! Oczywiście, wszystko zależy od gustu, ale nie zawsze to, co się dobrze sprzedaje, jest najlepsze. Wiadomo, że na „Świat się pomylił" i „Patrycji Markowskiej" są wielkie przeboje. I ja kocham takie piosenki, jak „Księżycowy", „Jeszcze raz" czy „Świat się pomylił". Bardzo cieszę się, że powstały i spodobały się ludziom. Ale jako całość, jeśli miałabym kiedyś puścić coś wnukom, to byłyby „Alter Ego" i „Obłęd".

Sukcesy sprawiły, że poznałaś też świat celebrytów: wystąpiłaś w „Tańcu z gwiazdami" i w „Ameryka Express", byłaś trenerką w „The Voice Of Poland". Jak się tam czułaś?

Ch....owo. (śmiech)

Tak myślałem!

„Taniec z gwiazdami" zaliczyłam po pierwszej płycie, kiedy byłam jeszcze kompletnie zielona. Moja mama była tancerką baletową, więc od zawsze bardzo chciałam tańczyć. Dlatego postanowiłam zrealizować to niespełnione marzenie. „Ameryka Express" wydarzyła się tuż przed pandemią i to była przygoda życia. To był trochę taki hipisowski wypad i wspominam go świetnie. Natomiast bycie trenerką „The Voice Of Poland" okazało się dla mnie bardzo trudne. Ja nie znoszę wyścigów, bo mnie peszą i zamykam się wtedy w sobie. Chciałam, żeby moi podopieczni wypadli jak najlepiej w występach na żywo, nie grałam wtedy w ogóle na siebie. Zdarzał mi się potem za to hejt w internecie, bo coś takiego nie popłaca w tym formacie. Dobra rzecz, jaka z tego wynikła, to, że mój podopieczny Marcin Sójka wygrał wtedy program.

Dałaś setki występów i dziś mówisz: „Koncerty są najpiękniejszą częścią tego zawodu". Z czego to wynika?

Z tego, że na koncertach jest sama prawda. Tam nie ma miejsca na ściemę. Na koncercie nic nie wytniesz, nie zmontujesz, nie poprawisz. Tam nic nie przykryje twojego charakteru, tego, jakie masz nastawienie do ludzi, tego, kim jesteś. Dlatego dla mnie koncert jest weryfikacją każdego artysty. Mam w tej dziedzinie mistrza – mojego tatę. To on pokazał mi, jak być na scenie dla ludzi. Czerpię więc z najlepszego źródła, z jakiego mogę.

A jak znosisz trudy podróży i życia w trasie?

Bardzo kocham mojego męża, więc rozstawanie z nim nie jest łatwe. Najchętniej zawsze brałabym go ze sobą i spędzała z nim każdą wolną chwilę. Ale generalnie kocham życie w trasie. Bardzo lubimy się z chłopakami z zespołu i każde wejście do busa to dla nas nowa przygoda. I to bardzo mnie odmładza – cały czas czuję się, jakbym miała 35 lat. Chciałabym, żeby tak mogło zostać. Kiedy patrzę na Urszulę czy Małgosię Ostrowską, to widzę, że one są ciągle młodymi dziewczynami. Tak właśnie działa ten zawód – cały czas masz młodą duszę.

Twoja kariera ruszyła z kopyta, kiedy akurat zostałaś mamą. Trudno było pogodzić domowe obowiązki z karierą?

Trudno. To był ogromny egzamin. Chciałam wtedy dawać z siebie wszystko zarówno na scenie, jak i w domu. Nie miałam więc zamiaru otoczyć się sztabem nianiek, tylko być z moim Filipem. Czasami wręcz stawałam na rzęsach.

Zabierałaś go od małego na koncerty?

Bardzo rzadko. Bo uważałam, że to nie jest środowisko dla dziecka: papierosy, alkohol, hałas, nerwy, hotel z weselem. Starałam się więc mu to oszczędzać i wynagradzać swoją nieobecność, wracając do domu po koncertach i wyłączając telefon. Bilans wyszedł więc chyba na plus, bo w tygodniu cały czas byłam dla swego syna. Starałam się to godzić, ale nie było to łatwe, bo w tym zawodzie, kiedy wracasz do domu, często głowa jest jeszcze w pracy.

Przed tobą co najmniej drugie 25 lat kariery. Jakie masz marzenia do spełnienia?

Koncert z orkiestrą symfoniczną. Niedawno zaśpiewałam na telewizyjnym koncercie z Reprezentacyjnym Zespołem Artystycznym Wojska Polskiego dwie piosenki – „Dzień za dniem" oraz „Miłość, wiara, nadzieja". I powiem ci, że można oszaleć. To zupełnie inna jakość. Nie sądziłam, że tak jest. Dlatego chciałabym jeszcze kiedyś zrobić taki projekt.

eprasa.pl 8302397b81

ZAWÓD, PASJA I NAUKA



FOT. ANDRZEJ BANAŚ

Krakowski lutnik Mateusz Majkowski poddał legendarne skrzypce Stradivariusa tomografii komputerowej, by poznać tajniki instrumentu

Mateusz Majkowski chce stworzyć skrzypce idealne

Legendarne skrzypce Stradivariusa poddał przemysłowej tomografii komputerowej, by poznać tajniki instrumentu. Krakowski lutnik Mateusz Majkowski opowiada nam o swojej pasji i pracy nad stworzeniem instrumentu inspirowanego dziełem historycznego mistrza. – Lutnictwo jest połączeniem sztuki i użytkowości. Mimo wykorzystania tomografii, szablonów i precyzyjnego wykonania elementów pozostaje miejsce na własną interpretację – mówi Mateusz Majkowski

Anna Piątkowska

– Początkowo miałem zostać skrzypkiem. W mojej rodzinie od lat pracuje się z drewnem, a pierwsza wizyta w pracowni lutniczej przy okazji zakupu skrzypiec była dla mnie ogromnym przeżyciem. Wtedy zobaczyłem możliwość połączenia doświadczenia muzycznego z budową instrumentu – mówi Mateusz Majkowski, przedstawiciel najmłodszego pokolenia krakowskich lutników.

Mateusz Majkowski jest lutnikiem, skrzypkiem i studentem lutnictwa artystycznego Akademii Muzycznej im. Paderewskiego w Poznaniu – jedynym takim wydziale w Polsce. Jego krakowska pracownia działa od 2024 roku. Od początku działalności łączy tradycyjne rzemiosło z nowoczesnymi metodami badania i dokumentacji historycznych instrumentów, realizując także własne przedsięwzięcia badawczo-lutnicze.

Wziął Stradivariusa pod lupę

– Wybierając model do budowy, wzorujemy się na instrumentach dawnych mistrzów – mówi nam Mateusz Majkowski, prezentując skrzypce powstałe w jego pracowni. Punktem odniesienia stały się dla tego instrumentu skrzypce Antonia Stradivariego „Polonia" z 1685 roku.

W ramach projektu „Polonia", dzięki współpracy z Kieleckim Parkiem Technologicznym oraz Politechniką Świętokrzyską, oryginalny instrument został poddany nieinwazyjnemu badaniu przy użyciu przemysłowej tomografii komputerowej.

– Badanie pozwala szczegółowo przeanalizować geometrię instrumentu, w tym przebieg sklepień i obrys krawędzi, a także rozpoznać ślady wcześniejszych napraw i zbadać zróżnicowanie gęstości materiału. Na podstawie uzyskanych danych opracowałem dokumentację techniczną, modele przestrzenne, formę oraz metalowe szablony konstrukcyjne. W mojej krakowskiej pracowni powstał już pierwszy instrument oparty na modelu historycznej „Polonii". Nie buduję jednak wiernej kopii. Pozostawiam miejsce na własną interpretację, również w przebiegu krawędzi oryginału, które przez ponad 340 lat podlegały użytkowaniu i zmianom – opowiada lutnik.

Na jedynym polskim Stradivariusie gra Janusz Wawrowski. W jego rękach nowy instrument zbudowany przez Mateusza Majkowskiego jest testowany i porównywany z oryginałem. W planach jest także koncert, podczas którego oba instrumenty zabrzmią obok siebie.

– To ogromna radość, gdy wybitny muzyk może sprawdzić mój instrument i zestawić go z historycznym oryginałem.

Projekt jest nadal rozwijany. Powstaje dokumentacja badań i procesu budowy, a we współpracy z krakowskim Rust Publishing planowane jest przygotowanie monografii poświęconej instrumentowi. Równolegle Majkowski rozwija The ScrollLab, cyfrową bibliotekę historycznych główek instrumentów smyczkowych, uzupełnianą o precyzyjne modele fizyczne opracowywane także z myślą o innych lutnikach.

Zna tajniki powstawania skrzypiec

Praca nad instrumentem to samotne zajęcie bez wymiaru godzin od–do, są procesy, których nie da się przyspieszyć.

– Są elementy, które najlepiej robić w ciemności, jak kształt sklepienia – wypukłości najwyraźniej widać, gdy w ciemności jest tylko jedno źródło światła. Z kolei retusz lakieru idealnie wychodzi przy świetle dziennym. Nie da się tego wszystkiego sprowadzić do ośmiu godzin pracy.

Mateusz Majkowski tworzy skrzypce od podstaw, jak mówi, „od dwóch klinów drewna, które rozcinam ręcznie". W pracy wykorzystuje tradycyjne narzędzia lutnicze, a w badaniach i dokumentacji również nowoczesne technologie. Chce kultywować tradycję, w której instrumenty powstawały przez wieki. Wiele rozwiązań trzeba odkrywać samemu. Dawni mistrzowie nie pozostawili pełnej dokumentacji swoich tajemnic. Nowoczesne metody i współczesne badania pozwalają lepiej zrozumieć ich warsztat.

Budowa nowych skrzypiec trwa zwykle kilka miesięcy, zależnie od przyjętych rozwiązań i przebiegu prac. Na ostateczny efekt, w tym brzmienie instrumentu, wpływa wiele czynników.

– Zawsze po ukończeniu pracy nad instrumentem pozostaje pewna doza niepewności, jak będzie brzmiał. Samo drewno, ze względu na swoją niepowtarzalność, odgrywa w tym bardzo ważną rolę – tłumaczy lutnik.

Oprócz budowy nowych instrumentów Mateusz Majkowski zajmuje się również naprawą i konserwacją instrumentów smyczkowych. W jego krakowskiej pracowni na drugie życie czeka wielu pacjentów, a dużo instrumentów odzyskało już sprawność i możliwości brzmieniowe. W diagnostyce i planowaniu prac wykorzystuje również nowoczesne metody dokumentacji, pozwalające lepiej rozpoznać stan instrumentu i ograniczać ingerencję w oryginalną substancję.

Plany lutnika wykraczają poza budowę kolejnych instrumentów. Chce rozwijać badania nad historycznym lutnictwem, dokumentować cenne obiekty i udostępniać ich opracowania innym specjalistom.

– Możliwość pracy przy Stradivariusie dała mi ogromną satysfakcję i nauczyła jeszcze większej odpowiedzialności przy pracy z instrumentami, które trafiają do mojej pracowni – mówi Mateusz Majkowski.

eprasa.pl 8302397b81

HISTORIA



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Prezydent Ignacy Mościcki wręcza buławę marszałkowską gen. Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu

Rydz-Śmigły bierze do ręki buławę marszałkowską

11 listopada 1936 r., w nowo wymyślone Święto Niepodległości, dekretem prezydenta Ignacego Mościckiego gen. broni Edward Rydz-Śmigły został mianowany Marszałkiem Polski

Mariusz Grabowski

Awans na marszałka wyniósł Rydza-Śmigłego na jedną z trzech osób rządzących Rzeczpospolitą, po prezydencie i szefie MSZ Józefie Becku. Marszałek – jak pisał prof. Paweł Wieczorkiewicz – „miał stać się nie tylko spoiwem łączącym coraz bardziej rozpadający się obóz legionowy, ale również stanowić jedyną praktycznie (...) legitymizację władzy jego następców".

Na szczytach władzy

Czy uprawniona jest teza, że wręczenie Rydzowi-Śmigłemu buławy było konsekwencją kilkuletnich wewnątrzsanacyjnych sporów po śmierci Józefa Piłsudskiego? Jak najbardziej, jeśli dodamy do tego jego niebywale wygórowane ambicje polityczne. Weźmy przykładowo utworzenie Obozu Zjednoczenia Narodowego, czyli autorskiego politycznego dziecka Rydza, które zostało zapowiedziane już 24 maja 1936 r. na Zjeździe Legionistów w Warszawie. „Nie ma wyboru, musimy mówić otwarcie. Albo ktoś stoi w naszych szeregach jak nasz brat, albo nie jest naszym bratem!" – mówił wtedy.

Od czasu tej deklaracji nastąpił gwałtowny wzrost liczby publikacji gloryfikujących jego osobę w prasie rządowej.

13 lipca 1936 r. premier gen. Felicjan Sławoj-Składkowski wydał okólnik, który – w sposób dość kuriozalny – wprowadził odgórnie kult Rydza-Śmigłego jako „pierwszej w Polsce osoby po Panu Prezydencie Rzeczypospolitej". Zacytujmy fragment tego niezwykłego dokumentu:

„Zgodnie z wolą Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego zarządzam co następuje: Generał Śmigły-Rydz, wyznaczony przez Pana Marszałka Józefa Piłsudskiego, jako Pierwszy Obrońca Ojczyzny, pierwszy Współpracownik Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w rządzeniu Państwem, ma być uważany i szanowany, jako pierwsza w Polsce osoba po Panu Prezydencie Rzeczypospolitej. Wszyscy funkcjonariusze państwowi z prezesem Rady Ministrów na czele okazywać Mu winni objawy honoru i posłuszeństwa".

„Buławizacja"

Gdy zatem kilka miesięcy później prezydent Mościcki mianował gen. broni Edwarda Rydza-Śmigłego marszałkiem Polski oraz odznaczył go Orderem Orła Białego, nikt nie był szczególnie zdumiony. Uważny czytelnik ówczesnych gazet mógł to wcześniej wyczytać np. w „Polsce Zbrojnej", która w wydaniu z 21 października informowała wprost, że już wkrótce „generał Edward Śmigły-Rydz zostanie marszałkiem Polski".

Zostało to sceptycznie przyjęte jedynie przez część obozu sanacyjnego, szczególnie najstarszych piłsudczyków, m.in. ppłk. Walerego Sławka czy ppłk. Wacława Jędrzejewicza, którzy uważali, że godność ta należała się jedynie Piłsudskiemu. Nadanie najwyższego stopnia wojskowego Rydzowi-Śmigłemu nazywano ironicznie „buławizacją", a Sławek uznał wywyższenie Rydza-Śmigłego za „najsmutniejszy dzień w swoim życiu".

Ową buławę poświęcono w kaplicy Zamku Królewskiego w Warszawie, a jej wręczenie przyszłemu marszałkowi odbyło się 10 listopada na dziedzińcu. W podniosłej uroczystości wzięli udział przedstawiciele rządu, delegacje pułków, duchowieństwa, attaché wojskowi i poczty sztandarowe wojska.

„Naczelny Wodzu!"

Przyjrzyjmy się tej uroczystości, bowiem jest kwintesencją sanacyjnego splendoru politycznego. Ignacy Mościcki wygłosił uroczystą mowę, zwracając się do Rydza-Śmigłego słowami: „Naczelny Wodzu Sił Zbrojnych! (...) wręczam Ci, Naczelny Wodzu, buławę marszałkowską, jako symbol Twej doniosłej roli w Państwie", co oficjalnie ustanawiało go faktycznym przywódcą obozu władzy po śmierci Józefa Piłsudskiego oraz przyszłym Naczelnym Wodzem.

Następnie prezydent przekazał marszałkowi buławę, wykonaną z oksydowanego srebra, z monogramem „E. R. Ś." i datą „11.XI.1936". W tym momencie orkiestra wojskowa odegrała hymn państwowy, a na wiwat oddano 20 salw armatnich. Po grzmocie armat nowy marszałek wygłosił mowę dziękczynną, a gratulacje w imieniu duchowieństwa złożył prymas Polski, kard. August Hlond.

Po zakończeniu części oficjalnej nowy marszałek Polski Edward Rydz-Śmigły przeszedł przed frontem delegacji pułkowych i szpalerem attaché, po czym udał się w triumfalnym powrocie do siedziby Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, wiwatowany entuzjastycznie przez tłumy mieszkańców stolicy. Wieczorem uczestniczył w uroczystej kolacji na Zamku Królewskim, wydanej przez prezydenta.

Rodzi się kult

Już w 1936 r. legionista-poeta kpt. Adam Kowalski skomponował „Pieśń o Generale Edwardzie Śmigłym-Rydzu". Dobrze oddawała ówczesną pozycję Naczelnego Wodza:

„Marszałek Śmigły-Rydz
Nasz drogi, dzielny wódz
Gdy każe, pójdziem z nim
Najeźdźców tłuc
Nikt nam nie ruszy nic
Nikt nam nie zrobi nic
Bo z nami Śmigły, Śmigły,
Śmigły-Rydz".

Przejawami kultu wojskowego marszałka były m.in. rozwieszane na ulicach plakaty, na których widniał na tle postaci Piłsudskiego. Ponadto imieniny Rydza-Śmigłego (18 marca) zaczęto obchodzić podobnie jak święto państwowe (w oddziałach wojskowych, szkołach, jednostkach Związku Strzeleckiego odbywały się imprezy okolicznościowe). W prasie pojawiały się artykuły na jego cześć, w urzędach i na pocztach rozwieszano jego portrety, plakaty z hasłami podkreślającymi wierność obywateli generalnemu inspektorowi.

Na cześć marszałka zmieniono nazwę przełęczy Chyszówki w Beskidzie Wyspowym na Przełęcz Rydza-Śmigłego oraz osady Żurawka pod Zaleszczykami na Śmigłowo. 18 obiektów w całej Polsce (domów ludowych, świetlic i klubów sportowych) otrzymało imię Rydza-Śmigłego. Wśród nich znalazł się np. most na Wiśle we Włocławku, otwarty we wrześniu 1937 r., aleja w Zakopanem – otwarta w grudniu 1938 r., ulica w Wilnie, Szkoła Pilotów Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej w Świdniku oraz szkoła nr 48 w Warszawie (jej imię Rydza-Śmigłego nadano już 21 lutego 1939 r.).

28 maja 1937 r. minister spraw wojskowych nadał 11. Pułkowi Ułanów Legionowych nazwę 11. Pułk Ułanów Legionowych imienia Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza oraz zarządził noszenie przez jego żołnierzy na naramiennikach kurtek i płaszczy – zamiast dotychczasowej numeracji – inicjałów „Ś.R." z buławą marszałkowską. W 1937 r. Poczta Polska wydała znaczki pocztowe o nominale 25 i 55 gr z podobizną marszałka.

Nowe wyzwania

Buława w rękach Rydza-Śmigłego miała też skutki na szczytach władzy. Zamarzywszy o przejęciu całkowitej władzy w Rzeczypospolitej, musiał zmierzyć się z prezydentem Ignacym Mościckim. 22 czerwca 1937 r. udzielił politycznego poparcia bytowi politycznemu pod nazwą Związek Młodej Polski, organizacji młodzieżowej Obozu Zjednoczenia Narodowego. Na jej czele stanął co prawda szef OZN płk Adam Ignacy Koc, ale jego zastępcą został Jerzy Rutkowski – czołowy działacz „Falangi". Pogłębiło to i tak wyraźny kryzys w obozie rządzącym. Marszałek Rydz-Śmigły oskarżany był przez środowisko prezydenta Mościckiego wręcz o „chęć wprowadzenia rządów totalitarnych".

Przed marszałkiem stanęły także wyzwania międzynarodowe. 12 marca 1938 r. III Rzesza dokonała Anschlussu Austrii. Reakcja Rydza-Śmigłego, wiernego ucznia Józefa Piłsudskiego, była zachowawcza. Uważał, że kierunek ekspansji południowo-wschodni jest dla Polski bezpieczny, szczególnie że chronił nas sojusz z Francją.

W połowie marca 1938 r. Śmigły-Rydz poparł także ultimatum wobec Litwy z żądaniem nawiązania stosunków dyplomatycznych. To z tego okresu pochodzi hasło: „Wodzu, prowadź na Kowno!". 18 marca, w swoje imieniny, marszałek manifestacyjnie pojechał do Wilna, gdzie nadzorował koncentrację wojsk polskich na granicy z Litwą. Odbył tam naradę wojenną z gen. Stefanem Dąbem-Biernackim. Następnego dnia rząd litewski uległ naciskom i przyjął ultimatum. Śmigły-Rydz uznał to wręcz za swój sukces osobisty, potwierdzający niejako jego kierowniczą rolę na szczytach władzy Rzeczypospolitej.

eprasa.pl 8302397b81

POD PARAGRAFEM

• **Pamiętajcie o Jeanie-Josephie Renaudzie** (ur. 16 stycznia 1873 r., zm. 8 grudnia 1953 r.) – francuskim autorze dwóch książek o szermierce i samoobronie: „La Défense dans la rue" (pol. „Samoobrona na ulicy", 1912 r.) i „L'Escrime" (pol. „Szermierka", 1911 r.)

HISTORIA POLSKI

Straszak ministra Józefa Becka: polska dywersja na Zaolziu

Wojciech Rodak, żar, brak

By odzyskać Zaolzie, Polska zastosowała szantaż dyplomatyczny. Wsparty... działaniami dywersyjnymi.

Pod koniec września 1938 r. Polska, wykorzystując kryzys sudecki, domagała się od Czechosłowacji „zwrotu Zaolzia". Rządowa propaganda działała na pełnych obrotach, uczucia patriotyczne były rozpalone do czerwoności. Pisano, że po „dwudziestu latach toczonych w ciężkich warunkach" walk Zaolziaków o „zachowanie polskości" „zespolono jeszcze bardziej uczucia całej Polski z oderwaną Ziemią Piastowską". „Śląsk Zaolziański musi natychmiast zjednoczyć się z Rzeczpospolitą" – wykładał 28 września 1938 roku „Ilustrowany Kuryer Codzienny".



Zajęcie Zaolzia – wkroczenie wojsk generała Władysława Bortnowskiego do Jabłonkowa. Aneksja została usankcjonowana dekretem prezydenta Ignacego Mościckiego 11 października 1938 roku

Spojrzenie z dwóch stron

Już wcześniej „IKC" podawał, za będącą na usługach MSZ Polską Agencją Telegraficzną, informacje o starciach mających „charakter walk partyzanckich", które miały ogarnąć całe Zaolzie. Donoszono o krwawych walkach w Jabłonkowie. Polakach, którzy osaczyli i zmusili do poddania się oddział czeskiej żandarmerii w Bystrzycy. O polskich partyzantach, którzy rozbrajali czeskich żołnierzy na ulicach czeskiego Cieszyna. Czytelnik mógł odnieść wrażenie, że za Olzą wybuchło powstanie.

Tymczasem Józef Mackiewicz, w tamtych dniach korespondent wileńskiego „Słowa" z Cieszyna, nazywał te depesze „powodzią bałamutnych informacji". W jego artykułach sytuacja za południową granicą znacznie mniej „pachniała" krwią i prochem. Oddajmy mu głos: „PAT pisze, że ludność owładnęła posterunkiem w czeskim Cieszynie i że gwałtowne natarcie było na ulicy Ostrowskiej, podczas gdy na ulicy Ostrowskiej wybito jedną szybę, którą nazajutrz wstawiono. (...) Jakieś fantastyczne podminowywanie gmachów, nieistniejące wysadzenie w Trzyńcu". Kto był bliższy prawdy?

Komitet Siedmiu

Cofnijmy się o kilka lat. W połowie lat 30. postwersalski porządek międzynarodowy zaczął się walić pod naporem polityki Adolfa Hitlera. Najpewniej we wrześniu 1937 r., jak podaje historyk Edward Długajczyk, Józef Beck polecił utworzenie tajnej organizacji mającej na celu koordynację działań służb II RP w celu odzyskania Zaolzia. Tak powstał Komitet Siedmiu, w skrócie K7. Na jego czele stanął przyboczny Becka Wiktor Tomir Drymmer, dyrektor z MSZ. W komitecie zasiadali trzej pracownicy resortu dyplomacji: dr Władysław Józef Zaleski, Tadeusz Kowalski i Tadeusz Kawalec, a także trzej oficerowie wywiadu, czyli „Dwójki": mjr Edmund Charaszkiewicz, kpt. Feliks Ankerstein i kpt. Wojciech Lipiński. Potem do tego ciała dokooptowano jeszcze ppłk. Ludwika Zycha.

Pod koniec 1937 r. K7 zdecydowało o reorganizacji istniejącej na Zaolziu polskiej konspiracji. Zamierzano stworzyć wśród tamtejszych Polaków organizację o szerszym zasięgu, coś przypominającego Polską Organizację Wojskową. Przygotowano trzy scenariusze operacji zaolziańskiej i w każdej przewidziano dla dywersantów istotną rolę: wywołanie zbrojnego powstania, podjęcie długotrwałych operacji terrorystycznych, które zdestabilizują region, i dywersję.

Błysk „Wilczych Zębów"

Plany K7 odnośnie do powołania „nowego POW" zaczęto realizować prawdopodobnie pod koniec 1937 r. Twór ten nazwano Organizacją Bojową (OB). Rekrutowano do niej młodych Zaolziaków, często już zaangażowanych w działalność jakiejś polskiej organizacji. Składała się ona z dwóch sekcji: A (polityczno-społecznej) i B (wojskowej do celów bojowych i dywersyjnych).

Celem sekcji A było stworzenie „nowego typu działacza narodowego" – karnego i fanatycznie oddanego sprawie. Młodzi działacze OB mieli w przyszłości zdominować polskie organizacje na Zaolziu, wygryzając „starych, skorumpowanych i wygodnickich" oraz „wszelkie czynniki ugodowe". Poza tym mieli rozlepiać ulotki i plakaty propagandowe.

Zadaniem sekcji B było prowadzenie działań dywersyjnych i partyzanckich. Kierował nią Józef Kominek, były komendant grupy „Wilcze Zęby". Plan zakładał, że członkowie OB mają odbyć przeszkolenie wojskowe. W tym celu nielegalnie przechodzili przez granicę do Polski.

Ogółem do lipca 1938 r. przeszkolono w tajnej akademii 67 ze 150 bojowców zza Olzy. Oprócz nich, od lutego 1938 r., tworzono podgrupę „Cieszyn" Organizacji Bojowej, która miała wyruszyć do boju z polskiej strony granicy. Liczyła ok. 190 osób.

Dywersanci czekają na sygnał

Arsenały bojowców znajdowały się w Polsce, w różnych punktach tuż przy granicy z Zaolziem. Zgromadzono w nich 150 rewolwerów, 400 granatów i 200 kg materiałów wybuchowych. Ponadto w Warszawie „Dwójka" miała przygotowane 800 karabinów oraz pewną ilość ckmów i granatów, które mogła szybko dostarczyć na Śląsk, do dyspozycji dywersantów.

We wrześniu 1938 r. III Rzesza zażądała, by Czechosłowacja bezwarunkowo oddała jej Sudetenland, czyli zachodnie rubieże kraju zamieszkane głównie przez Niemców. Za Berlinem podążała Warszawa, składając roszczenia względem Zaolzia.

21 września nad Olzą skoncentrowano przeszło 30 tys. żołnierzy tworzących Samodzielną Grupę Operacyjną „Śląsk". Dowodził nimi gen. Władysław Bortnowski. W nocy z 22 na 23 września marszałek Edward Rydz-Śmigły wydał rozkaz przerzutu broni przez granicę i rozpoczęcia akcji dywersyjnej na Zaolziu. Z kwatery głównej w czeskim Cieszynie dowodzili nią ludzie z K7: ppłk Ludwik Zych i kpt. Wojciech Lipiński. Ale większość akcji miała, delikatnie mówiąc, mało imponujące rezultaty. Oto przykłady.

Chłopcy w akcji

30 września Józef Retka z Trzyńca otrzymał rozkaz wysadzenia koszar w czeskim Cieszynie. Zapalił ładunek i wrzucił go na dach jednego z baraków. Bombę zgasili nadbiegający czescy żołnierze. Retce udało się zbiec. |1 października bojowcy zagrozili żandarmom z Olbrachcic, że jeśli natychmiast nie opuszczą wsi, zostaną obrzuceni granatami. Gdy obsada posterunku przeniosła się do sąsiedniej wsi, zdemolowano lokal.

Pod koniec września polscy harcerze z Trzyńca, związani z OB, dokonali serii mniejszych akcji. M.in. podłożyli bombę pod pomnik wolności w Kanadzie (dzielnica Trzyńca), zdemolowali szkołę w Łyżbicach i... wysadzili część pomieszczeń gospodarczych trzynieckiej synagogi.

Najbardziej spektakularne uderzenie OB nastąpiło w Końskiej 24 września. Oddział Wiktora Kowalskiego ps. Roch zaatakował tzw. dom Szuta, w którym znajdowały się posterunek policji i magazyn broni. Budynek ostrzelano i obrzucono granatami. Zastraszeni Czesi wycofali się, zabierając kilku rannych kolegów.

Mizerny bilans sabotażu

Warto przybliżyć także jedyną akcję, w której polski dywersant poległ na placu boju. 25 września z Cieszyna wyruszył na akcję do zaolziańskiego Jabłonkowa, przez zieloną granicę, pluton Pawła Mitręgi ps. Pawełek. Nazajutrz, pod Herczawą, część oddziału wpadła w zasadzkę. 20 bojowców zostało otoczonych, a w strzelaninie trafiony w skroń padł martwy Wiktor Reger, harcmistrz. Dwa tygodnie później z rozpaczy zmarł jego ojciec, polityk PPS Tadeusz Reger.

Bilans polskiej akcji dywersyjnej był mizerny: dokonano 34 akty sabotażu i stoczono 6 potyczek. Trudno te operacje nazwać „powstaniem", jak szumnie określał incydenty zaolziańskie PAT.

2 października na Zaolzie wkroczyły regularne oddziały Wojska Polskiego.

eprasa.pl 8302397b81

REPREZENTACJA POLSKI

Kontrowersje po powołaniach selekcjonera Urbana

W piątek Jan Urban ogłosił skład na kończące tegoroczne występy reprezentacji Polski mecze z Rumunią i Szwecją w Lidze Narodów. Dziś o godz. 18.00 w stołecznym hotelu Double Tree by Hilton rozpoczyna się zgrupowanie kadry

Adam Godlewski



FOT. SYLWIA DĄBROWA

Jan Urban dał do zrozumienia, że dwa ostatnie tegoroczne sprawdziany chce zaliczyć z uśmiechem na ustach

Wśród zaproszonych przez selekcjonera zawodników ponownie zabrakło Bartosza Nowaka, Karola Czubaka i Łukasza Skorupskiego, o których od dawna upominały się media. Urban zagrał zatem va banque mając świadomość, że tylko płynna i zbalansowana gra – poparta dwiema wygranymi – może zapewnić trenerowi zachowanie eksponowanej posady w PZPN.

Dziwić może zwłaszcza brak w kadrze na spotkania, które Biało-Czerwoni rozegrają w Bukareszcie (14.11) i Wrocławiu (17.11) doświadczonego golkipera z Bolonii, bo nasza defensywa od dawna monolitem – i to delikatnie określając – nie jest. Zatem pod nieobecność leczących urazy Kamila Grabary oraz Marcina Bułki przydałby się bramkarz z międzynarodowym doświadczeniem, gwarantujący reprezentacyjny poziom. Tymczasem powołany tercet ma wielki deficyt w statystykach.

O ile Skorupski rozegrał w kadrze 20 meczów (w tym ten przeciw Francji w Euro'24), o tyle Bartłomiej Drągowski, Sławomir Abramowicz i Mateusz Kochalski w sumie mają tylko 4A; choć po prawdzie – cztery występy zanotował w pojedynkę Drągowski. Abramowicz 4-krotnie reprezentował kraj w młodzieżówce, zaś Kochalski – 2-krotnie w kategorii najstarszych... juniorów.

Dodatkowo, w PKO Ekstraklasie powołani golkiperzy wcale się nie wyróżniają. Przeciwnie, kluby, w których występują, tracą znacznie więcej goli niż można było się spodziewać przed startem rozgrywek...

Urbanowi trzeba jednak oddać, iż jest konsekwentny. Skoro zdecydował się na odmładzanie składu, to nawet po urazach graczy znajdujących się na czele jego rankingów na poszczególnych pozycjach pozostaje wierny ogłoszonej koncepcji. Selekcjoner ma świadomość, że absencje 35-letniego Skorupskiego i 33-letniego Nowaka nie powiększyły grona zwolenników jego pozostania na posadzie selekcjonera, ale sprawia wrażenie gościa, który wie co robi. I ma konkretnym plan na dwa najbliższe mecze.

Co więcej, trener zapowiada, że zamierza sobie poradzić z ostatnimi tegorocznymi sprawdzianami z... uśmiechem na ustach. Od pierwszego do ostatniego dnia zgrupowania!

Zapewne na dobry – z pewnością lepszy niż w październiku – humor trenera Urbana wpływ mają ligowe oraz pucharowe gole sporej liczby jego wybrańców. I fakt, że gracze, których zaprosił na listopadowe zgrupowanie, dostają satysfakcjonującą liczbę minut w klubach. A zapewne nie bez wpływu na samopoczucie selekcjonera pozostaje fakt, że na 49 rozegranych w listopadzie meczów w obecnym stuleciu aż 24 zakończyło się zwycięstwami (przy 14 porażkach) Biało-Czerwonych. Zatem – historycznie rzecz ujmując – to miesiąc, w którym reprezentacja Polski lubi i potrafi grać. Nawet z przeciwnikami wyżej od nas notowanymi...

Powołania do reprezentacji Polski na mecze Ligi Narodów z Rumunią i Szwecją

Bramkarze:
Sławomir Abramowicz (Jagiellonia Białystok), Bartłomiej Drągowski (Widzew Łódź), Mateusz Kochalski (Wieczysta Kraków).

Obrońcy:
Jan Bednarek (FC Porto, nie może zagrać w pierwszym meczu za kartki), Matty Cash (Aston Villa), Przemysław Frankowski (Stade Rennes), Tomasz Kędziora (Dynamo Kijów), Jakub Kiwior (FC Porto), Kamil Piątkowski (Legia Warszawa), Oskar Kubiak (Slavia Praga), Kacper Potulski (Mainz), Tymoteusz Puchacz (Sabah Baku).

Pomocnicy:
Bartosz Mazurek (RB Salzburg), Wiktor Nowak (Slavia Praga), Łukasz Poręba (Elversberg), Marcel Reguła (Zagłębie Lubin), Michał Skóras (RC Lens), Sebastian Szymański (Stade Rennes), Karol Świderski (Widzew Łódź), Kacper Urbański (Górnik Zabrze), Nicola Zalewski (Inter Mediolan), Piotr Zieliński (Piotr Zieliński).

Napastnicy:
Adrian Benedyczak (Kasimpasa), Robert Lewandowski (Chicago Fire), Mateusz Żukowski (Magdeburg).

LIGI ZAGRANICZNE

Dublet Lewandowskiego z karnych

Jacek Kmiecik

Kapitan reprezentacji Polski wyjazd na kadrę na mecze Ligi Narodów z Rumunią i Szwecją uczcił dubletem z rzutów karnych w Major League Soccer.

38-letni polski napastnik Chicago Fire zdobył dwie bramki z rzutów karnych w ostatnim meczu fazy zasadniczej MLS przeciwko Columbus Crew.

Gole Lewandowskiego w 8. i 22. minucie na niewiele się zdały, bowiem „Strażacy" ostatecznie przegrali mecz na Soldier Field 3:4.

„Lewy" w 45+4. minucie był bliski skompletowania hat-tricka, ale jego uderzenie piłki głową po dośrodkowaniu Antona Saletrosa z prawego skrzydła trafiło w bliższy słupek i odbiło się pod nogi Marena Haile-Selassie'ego, który z łatwością strzelił gola.

Lewandowski zaliczył swój drugi występ w sezonie zasadniczym MLS z kilkoma golami – i drugi z rzędu z dwoma zdobytymi bramkami – kończąc rozgrywki ligowe z dziewięcioma golami i pięcioma asystami. Zakończył również sezon z trzema golami z rzutów karnych bez pudła, po dwóch zdobytych w sobotni wieczór.

Chicago zakończyło sezon na czwartym miejscu w Konferencji Wschodniej, co jest najwyższą pozycją od zajęcia trzeciego miejsca w 2017 roku.

W play-off MLS drużyna kapitana reprezentacji Polski zagra z Charlotte FC, czyli byłym zespołem Karola Świderskiego, Kamila Jóźwiaka i Jana Sobocińskiego.

W piątek napastnik Kasimpasy Adrian Benedyczak został powołany na mecze Ligi Narodów z Rumunią i Szwecją. Miał zadebiutować w reprezentacji już na przełomie września i października, także w Lidze Narodów, ale na zgrupowanie nie dojechał z powodu kontuzji.

Powołanie Benedyczak uświęcił zdobyciem bramki w wygranym przez Kasimpasę 2:0 wyjazdowym spotkaniu z Gaziantep FK w 11. kolejce tureckiej Super Lig. To siódmy w tym sezonie ligowym gol polskiego piłkarza, który w klasyfikacji strzelców zajmuje piąte miejsce.

25-letni napastnik wykorzystał rzut karny w 21. minucie, ustalając wynik meczu.

Nie popisał się obrońca US Sassuolo Sebastian Walukiewicz, który w wyjazdowym meczu 11. kolejki Serie A z AS Roma (0:3) wbił samobója w 30. minucie na 0:2.

BUNDESLIGA. 9. kolejka: Hamburger SV - Borussia Moenchengladbach 3:1, Paderborn - Eintracht Frankfurt 2:2, 1. FSV Mainz - Bayern Monachium 1:2, RB Lipsk - FC Augsburg 5:2, Borussia Dortmund - Elversberg 2:1, VfB Stuttgart - Werder Brema 1:0.

LA LIGA. 12. kolejka: Sevilla - Deportivo Alaves 0:0, Malaga - Racing Santander 1:2, Espanyol - Deportivo La Coruna 0:0, Osasuna Pampeluna - Athletic Bilbao 1:1, Valencia - Real Madryt 0:3.

LIGUE 1. 10. kolejka: Toulouse - Racing Strasburg 3:1, Auxerre - Paris FC 0:1, PSG - Troyes 1:0.

PREMIER LEAGUE. 10. kolejka: Everton - Coventry City 3:1, Leeds United - Tottenham Hotspur 1:0, Fulham - Newcastle United 1:1, Arsenal Londyn - Hull City 1:0, Nottingham Forest - Manchester City 3:1.

SERIE A. 11. kolejka: Venezia - Udinese 2:1, Torino - Lecce 1:1, Cagliari - Frosinone 1:0, Parma - Bologna 1:2, AS Roma - Sassuolo 3:0, Napoli - Lazio 1:1.

MATERIAŁ INFORMACYJNY HONEST MEDIA 0011451938

Przełom w szkoleniu młodzieży. Program Certyfikacji Akademii Siatkarskich napędza rozwój klubów

Sześćdziesiąt trzy akademie, ponad sześć tysięcy młodych siatkarek i siatkarzy oraz 13 milionów złotych wsparcia. Program Certyfikacji Akademii Siatkarskich to jeden z najważniejszych projektów dla przyszłości polskiej siatkówki.



Sukcesy reprezentacji i polskich klubów zaczynają się od pracy z najmłodszymi. Żeby wychowywać kolejnych mistrzów, potrzeba dobrych trenerów, dostępnych hal i stabilnych warunków rozwoju. Właśnie na te potrzeby odpowiada Program Certyfikacji Akademii Siatkarskich, finansowany przez Ministerstwo Sportu i Turystyki.

– *Projekt ma dwa główne cele: uporządkowanie struktur klubów, tak aby obejmowały wszystkie grupy wiekowe oraz rozwój nowoczesnego szkolenia* – mówi Artur Popko, prezes Polskiej Ligi Siatkówki. – *Obejmuje już 63 akademie, a zainteresowanie środowiska pokazuje, że potrzeby są znacznie większe.*

Pierwsza faza programu to 13 milionów złotych dofinansowania całego projektu. Kluby mogą przeznaczyć środki m.in. na wynagrodzenia trenerów, wynajem obiektów sportowych, zakup sprzętu czy organizację meczów.

– *Jeżeli chcemy mieć fantastyczną reprezentację narodową, musimy inwestować w młodzież oraz kluby* – przekonuje Jakub Rutnicki, minister sportu i turystyki. – *Stworzyliśmy projekt skierowany, w przypadku siatkówki, do ponad 400 drużyn. Cieszę się, że jako Ministerstwo Sportu i Turystyki przeznaczyliśmy w tym roku na ten cel 13 milionów złotych. Zapowiadam też kontynuację tego programu, ponieważ przynosi on realne efekty* – dodaje minister.

Za realizację programu w siatkówce odpowiada Fundacja Siatkarska Polska. – *Przede wszystkim chodzi nam o ujednolicenie systemu szkolenia poprzez wprowadzenie spójnych standardów treningowych, podnoszenie kwalifikacji kadry trenerskiej, a także rozwój i edukację personelu szkoleniowego oraz budowę zintegrowanej cyfrowej bazy danych* – wyjaśnia Wojciech Stępień, prezes Fundacji Siatkarska Polska. – *W kolejnej edycji chcemy dojść do stu certyfikatów.*

Program już obejmuje 63 akademie: 19 ze złotym certyfikatem, 25 ze srebrnym i 19 z brązowym. Po raz pierwszy w tego typu programie MSiT wysokość wsparcia akademii siatkarskich powiązano ze stopniem certyfikacji.

– *Mamy Siatkarskie Ośrodki Szkolne i świetnie zorganizowane kluby, a ten projekt jest kolejną cegiełką w budowaniu naszej szkoleniowej piramidy. Z perspektywy klubów trudno wskazać wcześniejszy program, który tak mocno wspierałby wszystkie te działania* – ocenia Wojciech Szczucki, koordynator krajowy programu.

eprasa.pl 8302397b81

PKO EKSTRAKLASA

Biała Gwiazda nie zwalnia tempa na własnym stadionie

Nie doszło do oczekiwanego przełamania w Wieczystej Kraków, co szkoleniowiec Żeljko Kopić przypłacił zwolnieniem ze stanowiska

Bartosz Głąb

W piątkowych i sobotnich meczach 14. kolejki PKO Ekstraklasy działo się bardzo wiele. Derby Krakowa nie zawiodły, no i wreszcie przełamał się Widzew Łódź po 3 miesiącach bez wygranej.

Jednym z największych hitów ostatniego weekendu w Polsce były piątkowe derby Krakowa przy Reymonta, w których lepsza okazała się Wisła Kraków. Biała Gwiazda ograła Pasy 2:1 i przez najbliższe kilka miesięcy będzie rządzić w stolicy Małopolski.

Emocjonująca była przede wszystkim pierwsza połowa, w której padły wszystkie 3 bramki. Po zmianie stron sportową rywalizację w cień odsunął Mateusz Klich, który w pewnym momencie zupełnie pożegnał się z rozsądkiem, pomylił dyscypliny i potężnym kopniakiem powalił na ziemię przeciwnika, za co otrzymał czerwoną kartkę i wyleciał z boiska.

Krakowska Wisła utrzymała serię i pozostaje z kompletem punktów wywalczonych przed własną publicznością. Właśnie dzięki fantastycznym wynikom u siebie, gdzie za każdym razem stadion wypełniony jest do ostatniego miejsca, beniaminek utrzymuje się w ligowej czołówce.

Wiceliderem tabeli - z solidną przewagą - pozostaje Górnik Zabrze, który w sobotni wieczór rzutem na taśmę pokonał 2:1 Wieczystą Kraków. Zwycięstwo wicemistrzowi Polski w końcówce zapewnił Erik Janża, precyzyjnym uderzeniem z rzutu wolnego. Kapitan zabrzańskiej ekipy chwilę później doznał kontuzji i kibice drżą o jego zdrowie.



FOT. WOJCIECH MATUSIK / POLSKAPRESS

Po derbach Wisła pozostaje z kompletem „domowych" punktów

Władze Wieczystej Kraków, która pozostaje na ostatnim miejscu w PKO Ekstraklasie, postanowiły zwolnić trenera. Zatrudniony pod koniec sierpnia chorwacki szkoleniowiec Żeljko Kopić stracił pracę, a wraz z nim także asystent Florentin Petre oraz analityk Cosmin Bujor.

Kto podejmie się próby uratowania beniaminka przed spadkiem w historycznym, pierwszym sezonie na najwyższym poziomie rozgrywkowym? Media spekulują, że blisko objęcia krakowskiego klubu jest Jacek Zieliński, zwolniony w połowie października z Korony Kielce.

Do wielkiego wydarzenia - okraszonego wyczekiwanym przełomem - doszło w Sercu Łodzi, czyli na stadionie przy Alei Józefa Piłsudskiego. Widzew Łódź sięgnął po upragnione, pierwsze od 3 miesięcy zwycięstwo w sezonie. I to w jakim stylu! Podopieczni Mateusza Stolarskiego rozbili Pogoń Szczecin aż 3:0 i wreszcie oddalili się od strefy spadkowej.

Jako pierwszy na listę strzelców wpisał się Karol Świderski, dla którego było to już czwarte trafienie po wrześniowo-październikowej przerwie reprezentacyjnej. Po zmianie stron prowadzenie gospodarzy podwyższył Steve Kapuadi, a w końcówce wygraną łódzkiej ekipy przypieczętował wprowadzony chwilę wcześniej na boisko Przemysław Wiśniewski.

Niestety, zawiodło budzące duże emocje sobotnie starcie Korony Kielce z Radomiakiem. Spotkanie zakończyło się zwycięstwem przyjezdnych 2:0 po bramkach w drugiej połowie.

Zdecydowanie ciekawiej było w piątkowym starciu Motoru Lublin z Wisłą Płock, które zakończyło się zwycięstwem gospodarzy 3:2. Goli kibice nie zobaczyli natomiast na Tarczyński Arena we Wrocławiu, gdzie tamtejszy Śląsk bezbramkowo zremisował z Piastem Gliwice. W pierwszej połowie miejscowi nie wykorzystali rzutu karnego.

14. KOLEJKA EKSTRAKLASY

MOTOR LUBLIN - WISŁA PŁOCK 3:2
Bramki: Bereszyński 2, N'Diaye 55, Czubak 90+8 - Silva 31, Kobacki 33

WISŁA KRAKÓW - CRACOVIA 2:1
Bramki: Carbo 9, Bozić 45+2 - Hasić 20

KORONA KIELCE - RADOMIAK 0:2
Bramki: Koperski 69, Grzesik 82

ŚLĄSK WROCŁAW - PIAST GLIWICE 0:0

GÓRNIK ZABRZE - WIECZYSTA KRAKÓW 2:1
Bramki: Zmrzly 33, Janża 90 - Piazon 31

WIDZEW ŁÓDŹ - POGOŃ SZCZECIN 3:0
Bramki: Świderski 33, Kapuadi 63, Wiśniewski 80

TABELA PKO BP EKSTRAKLASY

1. Lech Poznań	12	31	32-11
2. Górnik Zabrze	14	31	23-12
3. Legia Warszawa	13	24	23-11
4. Pogoń Szczecin	13	24	20-15
5. Wisła Kraków	14	24	22:19
6. Piast Gliwice	14	22	24-20
7. KGHM Zagłębie Lubin	13	22	16-15
8. GKS Katowice	13	21	25:19
9. Motor Lublin	14	19	22-24
10. Jagiellonia Białystok	12	18	17-18
11. Korona Kielce	14	18	14-21
12. Wisła Płock	13	15	14-21
13. Widzew Łódź	14	14	20-19
14. Radomiak Radom	14	14	17-29
15. Cracovia Kraków	14	12	16-23
18. Wieczysta Kraków	14	8	18-28
17. Raków Częstochowa	13	9	19-29

W przypadku równej liczby punktów o kolejności w tabeli decydują bezpośrednie mecze.

Program 15. kolejki:

Piątek, 20 listopada
Piast Gliwice - Korona Kielce (godz. 18.00), Pogoń Szczecin - Śląsk Wrocław (godz. 20.30)
Sobota, 21 listopada
Cracovia Kraków - Jagiellonia Białystok (godz. 14.45), KGHM Zagłębie Lubin - Górnik Zabrze (godz. 17.30), Radomiak Radom - Wisła Kraków (godz. 20.15)
Niedziela, 22 listopada
Raków Częstochowa - Widzew Łódź (godz. 12.15), GKS Katowice - Lech Poznań (godz. 14.45), Wisła Płock - Legia Warszawa (godz. 17.30)
Poniedziałek, 23 listopada
Wieczysta Kraków - Motor Lublin (godz. 19.00)

JEDENASTKA KOLEJKI



NAJLEPSI STRZELCY

9 goli
Jordi Sánchez (Wisła Kraków – 6, Pogoń Szczecin – 3)
8 goli
Ilia Szkurin (GKS Katowice)
7 goli
Bartosz Nowak (GKS Katowice), Ajdin Hasić (Cracovia), Karol Czubak (Motor Lublin), Patryk Makuch (Raków Częstochowa)
6 goli
Patrik Walemark i Pablo Rodriguez (obaj Lech Poznań), Mariusz Stępiński (Korona Kielce)

BOHATER WEEKENDU

Karol Świderski
(Widzew Łódź)
Powołany na listopadowe mecze reprezentacji Polski napastnik, od ostatniego zgrupowania kadry narodowej tylko raz nie wpisał się na listę strzelców. Teraz dał niezwykle ważne prowadzenie łódzkiemu Widzewowi, po indywidualnej, efektownej akcji, potwierdzając słuszność powołania.



FOT. PAP/MARIAN ZUBRZYCKI

PIŁKA NOŻNA

Trener Widzewa: – Jedna jaskółka wiosny nie czyni. Krok po kroku, po wygrane

Paweł Wiśniewski

Po derbach Krakowa trener Wisły Mariusz Jop ocenił, że o wygranej przesądziła m.in. większa dojrzałość jego piłkarzy. Szkoleniowiec podziękował również kibicom za doping, który pomagał w trudnych momentach.

– To był typowy derbowy mecz – stwierdził Mariusz Jop. – Piłka była często w powietrzu, nie brakowało pojedynków i prowokacji. Wykazaliśmy się większą dojrzałością, co świadczy o pewnej klasie piłkarskiej. Nie dawaliśmy się prowokować, a rywalom trochę puszczały nerwy.

Trener Cracovii Bartosz Grzelak po porażce nie krył frustracji.

– W pierwszej połowie mecz był wyrównany, ale jestem zły za sposób, w jaki straciliśmy bramki – wyjaśnił. – Rywal był skuteczniejszy. Po przerwie mieliśmy większe posiadanie piłki, utrzymywaliśmy się na połowie Wisły. Mieliśmy okazje bramkowe, może nie najgroźniejsze, ale ich nie wykorzystaliśmy. Jesteśmy teraz źli i sfrustrowaniu z powodu porażki.

Kilka godzin później okazało się, że Grzelak nie jest już szkoleniowcem Cracovii... Bezpośrednią przyczyną rozstania była porażka z... Wisłą.

Pierwsze w sezonie zwycięstwo u siebie odniósł łódzki Widzew. To również dopiero druga ligowa wygrana, na którą zespół czekał od trzech miesięcy. To także premierowa wygrana Widzewa pod wodzą trenera Mateusza Stolarskiego.

– Cieszymy się, że mogliśmy wreszcie sprawić radość naszym kibicom – powiedział Stolarski. – Ale jedna jaskółka wiosny nie czyni. Musimy zachować spokój. Był już taki moment w sezonie, kiedy Widzew pokonał Jagiellonię i wydawało się, że to pójdzie w dobrą stronę, a tak nie było. Gratulacje dla zespołu za to, że zdobył trzy bramki, że po raz kolejny trafiamy po stałym fragmencie gry, za to, że zachował czyste konto, przetrzymał trudny moment i wygrał na własnych zasadach.

Zaznaczył, że prowadzona przez niego drużyna musi zacząć regularnie punktować. Pierwszym celem – jak wyjaśnił – jest zdobycie 20 punktów.

– Krok po kroku – podkreślił szkoleniowiec „Widzewiaków". – Najpierw trzeba było wygrać w Łodzi, teraz musimy iść po kolejne zwycięstwo na wyjeździe i bardziej regularnie punktować. Zrobiliśmy dużo, a czegoś, czego nam brakowało do dalszej budowy tej mentalności i pewności siebie, było zdobycie trzech punktów. Cieszę się, że wygraliśmy pierwsze spotkanie za mojej kadencji. Przyznaję, teraz jest nam wszystkim nieco lżej na sercach.

eprasa.pl 8302397b81

PIŁKA NOŻNA

Kajetan Szmyt: Liga Europy to dla nas nauka. Trudna

W Sofii rozmawiał Jaromir Kruk

Jagiellonia przegrała bardzo ważny mecz w Lidze Europy z Lewskim w Sofii 0:1 i ma coraz mniejsze szanse na awans do fazy pucharowej. W Bułgarii kapitalną okazję zmarnował nasz rozmówca Kajetan Szmyt.

Zakładaliście, że ze stolicy Bułgarii wrócicie bez punktu?

Miałem bardzo dobrą sytuację i jestem zły na siebie, że jej nie wykorzystałem. Pierwsza połowa była dobra w naszym wykonaniu, byliśmy długo w pobliżu pola karnego Lewskiego, lecz zabrakło najważniejszego – gola. Niestety, w drugiej, już bardziej wyrównanej połowie, straciliśmy bramkę w prosty sposób. Liczyliśmy na zwycięstwo, ale jeśli nie dało się wygrać, to trzeba było chociaż zremisować.

Nie zabrakło trochę podjęcia ryzyka w tym spotkaniu?

Nie. Chcieliśmy to spotkanie wygrać, ale faktycznie w drugiej części Lewski dłużej utrzymywał się przy piłce. Mecz stał się chaotyczny, pojawiło się dużo faz przejściowych, walki, brakowało sytuacji, dlatego też ciężko przyjąć przegraną w Sofii. Byliśmy dobrze przygotowani na to spotkanie, Lewski nas niczym nie zaskoczył, choć potwierdziło się, że jest groźny i umie grać z dużą intensywnością.

Wierzycie, że jeszcze można awansować do fazy pucharowej Ligi Europy? Zestaw przeciwników nie pozwala na zbytni optymizm.

Jagiellonia lubi grać z bardzo silnymi rywalami, a wierzyć trzeba. Każdy sobie zdaje sprawę ze skali trudności, ale gra się w piłkę po to, żeby wygrywać. Z Sunderlandem może ciut pomóc nam fakt, że angielski zespół będzie zdecydowanym faworytem. Nie chcę wróżyć, skupiam się na najbliższym spotkaniu w ekstraklasie. Trzeba wygrać i powetować sobie porażkę w Bułgarii.

Zostańmy jeszcze przy Lidze Europy. Trzy punkty zdobyte w czterech meczach Jagiellonii to chyba nie jest dorobek satysfakcjonujący?

Patrząc na przebieg meczów, tych punktów powinno być więcej, choćby w Sofii. Szkoda, że na początku spotkania z Lewskim źle przyjąłem piłkę, przez co nieczysto uderzyłem i trafiłem w bramkarza. Szkoda, że zawiedliśmy, daliśmy powody do radości kibicom bułgarskiej drużyny. Kolejny raz w Lidze Europy mecz toczył się w fajnej, gorącej atmosferze. Cieszę się, że przebiliśmy się z Jagiellonią do tych rozgrywek, klub zrobił kolejny krok po Lidze Konferencji. Po wyeliminowaniu Glasgow Rangers apetyty wzrosły, a każde kolejne spotkanie nas uczy. Nie jest to łatwa nauka, ale z drugiej strony - w kolejnych czterech meczach Ligi Europy nie mamy nic do stracenia, tylko wiele do zyskania. Nie ma mowy o rezygnacji, poddawaniu się.

Jako dziecko marzyłeś o grze w Premier League?

Nie miałem wyśnionego klubu z Anglii, ale wielu zawodników marzy o grze w Anglii. Teraz



FOT. PAP/EPA

Kajetan Szmyt: - Patrząc na przebieg dotychczasowych meczów w Lidze Europy, punktów na koncie Jagiellonii powinno być więcej

przed nami spotkanie z Sunderlandem, wspaniałe wyzwanie dla Jagiellonii, jednak nie wolno zapominać o ekstraklasie. Tam trzeba wykonywać robotę, zdobywać punkty, iść w górę tabeli. Innej możliwości nie widzę. Mamy dobry zespół, z naprawdę niemałą jakością.

Liga Europy spełniła twoje oczekiwania, jako kolejny ważny etap kariery?

Wszystko w moim przypadku zaczęło się toczyć bardzo szybko. Celem Jagiellonii był awans do Ligi Europy, to zrealizowaliśmy, po drodze rozprawiając się z tak uznaną firmą jak Glasgow Rangers. W tych rozgrywkach możemy się mierzyć ze świetnymi zespołami, znakomitymi zawodnikami, których nie ma sensu porównywać do przeciwników z PKO Ekstraklasy. Każdy mecz to nauka, z której trzeba korzystać. A nawet - czerpać garściami!

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN 0011610639

Mysiadło siatkówką stoi. Jedna wielka sportowa rodzina

W Międzyszkolnym Uczniowskim Klubie Sportowym Krótka w Mysiadle trenuje około 180 dziewcząt i kobiet w wieku od 7 do ponad 50 lat. Od 17 lat siatkówka łączy mieszkanki okolicznych miejscowości, rozwija sportowe pasje i buduje przyjaźnie. Od początku roku szkolnego klub korzysta ze wsparcia programu Sportowy ORLEN, dzięki któremu może inwestować w sprzęt, obozy sportowe oraz profesjonalną opiekę nad zawodniczkami.

Siatkówka łączy pokolenia

MUKS Krótka od 17 lat organizuje zajęcia dla mieszkanek gmin Lesznowola i Piaseczno oraz warszawskiego Ursynowa. W klubie swoje umiejętności rozwijają zarówno najmłodsze adeptki siatkówki, jak i doświadczone zawodniczki. Dla jednych treningi są początkiem sportowej przygody, dla innych sposobem na aktywne życie i pielęgnowanie wieloletniej pasji.

Od początku roku szkolnego MUKS Krótka korzysta ze wsparcia programu Sportowy ORLEN, które pozwala klubowi rozwijać działalność i lepiej odpowiadać na potrzeby zawodniczek.

– Bardzo cieszymy się z udziału w programie, ponieważ otwiera przed nami nowe możliwości i daje szansę na dalszy rozwój klubu. Dzięki temu wsparciu możemy skuteczniej realizować nasze plany i tworzyć lepsze warunki do treningów – mówi Agnieszka Sola-Manowska, prezes MUKS Krótka Mysiadło.

Dofinansowanie umożliwi również organizację dwóch obozów sportowych dla dzieci i młodzieży – zimowego i letniego. To okazja do intensywniejszej pracy nad techniką, poprawy współpracy na boisku oraz integracji zespołów.

Na boisku i poza nim

W MUKS Krótka sport to nie tylko aktywność fizyczna, ale także nauka odpowiedzialności i współpracy. Siatkówka wymaga wzajemnego zaufania, dobrej komunikacji i zaangażowania całego zespołu. Dla młodych zawodniczek treningi są również okazją do nawiązywania przyjaźni i budowania relacji, które wykraczają poza sport.

– Trenowanie siatkówki daje mi możliwość wyładowania emocji po całym dniu



i poczucie przynależności do drużyny. U nas tworzy się taka wielka rodzina, bo jesteśmy bardzo blisko, prawie jak siostry. To daje dużą satysfakcję – opowiada Ewa Borecka, jedna z zawodniczek.

Dziewczęta z zespołu trenują razem już od dekady. Wspólne treningi, mecze i sportowe emocje z biegiem lat zbudowały między nimi wyjątkową więź. Dziś łączy je nie tylko pasja do siatkówki, ale także przyjaźnie sięgające dzieciństwa.

– W pierwszej klasie przyjaciółka zabrała mnie na trening i przepadłam – zakochałam się w siatkówce.

W naszym zespole panuje wręcz rodzinna atmosfera. Znamy się od najmłodszych lat, łączy nas wyjątkowa przyjaźń i na boisku tworzymy prawdziwą rodzinę. To coś pięknego – mówi Liliana Białas.

W sportowej drodze dziewcząt ważną rolę odgrywają również ich rodzice. Kibicują córkom podczas treningów i meczów, a z biegiem lat sami stają się częścią klubowej społeczności.

– Zaczynały jako małe dziewczynki, a dziś mają już po 17 lat i grają w drużynie juniorek. Jako rodzic i kibic przeżywam wszystko podwójnie. Pozostałe zawodniczki traktuję jak własne córki. Spędzają razem czas w domu, na treningach i poza boiskiem. To naprawdę jedna wielka sportowa rodzina – podkreśla Konrad Białas, tata Liliany.

Wsparcie dla ciała i umysłu

Dzięki programowi Sportowy ORLEN klub może zadbać nie tylko o wyposażenie i organizację zajęć. Środki pozwoliły także sfinansować konsultacje z fizjoterapeutą i osteopatą oraz współpracę z trenerem przygotowania motorycznego.

Zawodniczki i szkoleniowcy mogą ponadto uczestniczyć w warsztatach i szkoleniach. Ważnym elementem wsparcia jest również współpraca z psycholożką sportową, która pracuje z siatkarkami od kategorii młodziczek do juniorek.

– To bardzo ważne wsparcie dla naszych zawodniczek. Ta współpraca bardzo nam pomaga, bo dziewczynki uczą się, jak radzić sobie ze stresem i presją – mówi Michalina Tokarska, trenerka klubowa.

Przygotowanie mentalne ma duże znaczenie w sporcie młodzieżowym. Pomaga zawodniczkom radzić sobie z emocjami podczas rywalizacji, utrzymywać koncentrację i odzyskiwać pewność siebie w trudniejszych momentach.

W Mysiadle siatkówka jest czymś więcej niż rywalizacją o punkty. To wspólna pasja, wieloletnie przyjaźnie i wsparcie, które łączy zawodniczki oraz ich rodziny. Dzięki programowi Sportowy ORLEN klub może dalej rozwijać tę społeczność, zapewniając kolejnym pokoleniom dziewcząt warunki do aktywności, nauki współpracy i czerpania radości ze sportu.

Wesprzyj w ORLEN VITAY dzieci i młodzież z lokalnych klubów sportowych

eprasa.pl 8302397b81

WYWIAD TYGODNIA

Trener kadry skoczków Maciej Maciusiak: Mamy pewność siebie, a z tym możemy wiele zdziałać

Trener reprezentacji Polski w skokach narciarskich Maciej Maciusiak opowiada nam o nadziejach związanych ze zbliżającym się sezonem Pucharu Świata

Artur Bogacki



FOT. ANDRZEJ BANAŚ

Maciej Maciusiak: Jako cała drużyna, sztab i zawodnicy czujemy, że jesteśmy naprawdę dobrze przygotowani do sezonu zimowego

PZN nawiązał ściślejszą współpracę z naukowcami, aby lepiej wykorzystywać zdobycze technologii, macie trenować w tunelu aerodynamicznym w Krakowie. Są głosy, że w skokach narciarskich badania i innowacje odgrywają dużą rolę. Jakie ma pan zdanie na ten temat?

To jest coś dla nas. Ja jestem bardzo pozytywnie do tego nastawiony. Cieszę się, że jest wola Ministerstwa Sportu, Politechniki Krakowskiej i związku, żeby to było po prostu dla nas dostępne, a nie, że najpierw papierologia. Bo czasem mamy fajne pomysły do sprawdzenia. Ciągle „szukamy metrów" w skokach, zawodnicy potrzebują czegoś więcej. Zdarza się, że drobne szczegóły decydują o sukcesie lub porażce, te pół metra czy metr różnicy wpływają na to, czy zdobywasz medal. My już zaczęliśmy w zeszłym roku te badania, głównie nad sprzętem. Nam, trenerom i zawodnikom, wydaje się, że coś powinno zadziałać. Często było tak, że metodą prób i błędów testowaliśmy te rozwiązanie na skoczni, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że w przypadku tych najlepszych zawodników może to nie być miarodajne. Każdy skoczek jest inny, każdy ma indywidualną technikę. Co będzie pomagać jednemu, to niekoniecznie drugiemu. Ciągle było takie szukanie. Przy pomocy tych badań naukowych możemy mieć szybszą i pewniejszą odpowiedź, że idziemy w dobrym kierunku. Ja się bardzo cieszę, że taka współpraca jest nawiązana.

W tym technologicznym wyścigu zbrojeń już nie będziemy odstawać? Bo w ostatnich latach były głosy, że Austriacy czy Niemcy mają lepszy sprzęt niż my i dlatego z nimi przegrywamy.

Ja bym sobie życzył również, żeby było nie tylko to porozumienie, ale też taka „grupa mądrych głów". Taka specjalna komórka do skoków narciarskich, która może coś wymyślić i nam pomóc, dać konkretne informacje – spróbujcie tego i tego, bo to powinno dobrze funkcjonować. A na razie u nas jest tak, że my, jako sztab, coś wymyślamy i dajemy to do badań, czy sami testujemy sprzęt. Wracając do Austriaków czy szczególnie Niemców, to mają tę przewagę, że tam podobne laboratoria już długo działają. Mam nadzieję, że w tym roku będziemy przed nimi.

Patrząc na wyniki z poprzedniego sezonu albo na igrzyska olimpijskie, to jednak ta różnica w innowacjach sprzętowych nie sprawiła, że Polacy nie mieli sukcesu.

Tak, ale pamiętajmy, że na odniesienie sukcesu wpływ ma bardzo wiele czynników. I trening, i atmosfera w zespole, i dyspozycja dnia, i oczywiście również ten sprzęt. To wszystko musi się złożyć w całość w idealnym momencie. Musimy mieć przygotowany każdy element.

Za wami mocno przepracowane lato. Jest optymizm, czy są problemy i trzeba jeszcze czegoś szukać?

Jesteśmy, myślę, na dobrej drodze, i to pokazały te ostatnie zawody w Klingenthal. Oczywiście do sezonu zimowego jest jeszcze trochę czasu, okres przygotowawczy się nie skończył. Mamy jeszcze dwa zgrupowania przed wyjazdem na Puchar Świata do Lillehammer (pierwszy start 20 listopada – przyp.). A jak będzie, to się przekonamy już niedługo.

No właśnie – czego się będzie można tej zimy spodziewać po was? Czy na przykład Kacper Tomasiak po sukcesie olimpijskim może pójść za ciosem i będzie regularnie na podium Pucharu Świata? Czy to jeszcze za młody zawodnik?

I tak, i nie. Ciężko, szczególnie w skokach, mówić na wyrost o wynikach. My wszystko robimy, żeby było jak najlepiej. Pokazywali się Paweł Wąsek, Klimek Joniak i Kacper, myślę, że powinniśmy się liczyć w światowej czołówce. My jako cała drużyna, sztab i zawodnicy, czujemy, że jesteśmy dobrze przygotowani. Mamy pewność siebie, a z tym możemy wiele zdziałać.

Pytanie, czy Tomasiak będzie na tyle mocny psychicznie, by teraz sprostać oczekiwaniom milionów kibiców skoków narciarskich w Polsce.

Myślę, że same igrzyska olimpijskie i inne starty pokazały, że Kacper mentalnie jest jednym z najlepszych zawodników na świecie. To jest na pewno jego przewaga.

Od strony sportowej też się jeszcze pewnie rozwija.

Tak, cały czas. Myślę, że w tym sezonie zrobi kolejny krok naprzód. Jego skoki od strony technicznej wyglądają znacznie lepiej niż wcześniej.

A czy ktoś z pozostałych zawodników jest w stanie wskoczyć na ten najwyższy poziom, powiedzmy do czołowej dziesiątki?

Specyfika naszej dyscyplina jest taka, że wszystko może się odwrócić nawet jednym treningiem, jednym skokiem. Podczas przygotowań na początku było dwóch liderów: Kacper Tomasiak i Paweł Wąsek, na niektórych zgrupowania i w ostatnich startach wyróżniał się Klemens Joniak. Mamy też grupę młodszych, która naciera z kadry B, choćby Szymon Sarniak, jest też doświadczony już przecież Kuba Wolny. Wiemy, że rywalizacja w Pucharze Świata jest trudna. Jak ktoś zdobywa punkty i jest w trzydziestce, to równie dobrze może być koło 20. miejsca. Ten, który jest w dziesiątce, daje sygnał, że w następnym konkursie może nawet stanąć na podium.

Najważniejsza impreza w tym sezonie to mistrzostwa świata.

Oczywiście, będą najbardziej prestiżowe, ale dla nas ważne jest też to, co po drodze, czyli poszczególne starty w Pucharze Świata. Jest Turniej Czterech Skoczni, mamy konkursy u siebie – w Wiśle i w Zakopanem.

A jak z pana perspektywy wyglądają skoki bez Kamila Stocha, który zakończył karierę? Po raz pierwszy od dwóch dekad nie ma go w kadrze.

Powiem szczerze, że troszkę się już przyzwyczailiśmy. Oczywiście na początku było tak troszeczkę nijak, tak dziwnie, no bo Kamil zawsze był wśród nas. Jesteśmy z nim kontakcie, mimo że ma zasłużony odpoczynek, podróżuje po świecie, ostatnio był w Ameryce Południowej. Dzwoni do nas, niedawno rozmawiał z Dawidem Kubackim. Jak wróci, to na pewno będzie z nami, pojedzie na zawody czy na zgrupowanie.

Będzie nawet formalnie, bo według zapowiedzi ma od stycznia już na dobre pełnić funkcję doradcy zarządu PZN do spraw skoków narciarskich.

Wszystko zależy od Kamila. Zawsze jest mile widziany w zespole, przez zawodników i sztab, to taki nasz dobry duch.

Dla pana będzie to drugi sezon w roli głównego trenera kadry. Jak pan zniósł ten poprzedni? Bo pojawiły się różne głosy krytyki, nawet prywatne wiadomości przekraczające granice przyzwoitości. Nie miał pan ochoty rzucić tego wszystkiego?

Powiem szczerze, że było bardzo ciężko. Ale to też jakieś kolejne życiowe doświadczenie. Myślę, że po takim sezonie, jak poprzedni, także jeśli chodzi o mnie osobiście, chyba już gorzej nie może być. Sportowo od samego początku było ciężko, bo już sezon letni był bardzo trudny. Musieliśmy walczyć o kwalifikację olimpijską. Teraz jest inaczej. Ja sam czuję wewnętrznie, że jest znacznie łatwiej, ale z drugiej strony zawsze chce się czegoś więcej. Dlatego ta siła spokoju jest bardzo ważna. Tak jak mówiłem: mamy przekonanie, że powinno być dobrze.

Trenerzy nie lubią mówić o wynikach, ale czy jesteśmy w stanie mieć w tym sezonie, może za dwa lata, zawodnika, który będzie walczył o Kryształową Kulę Pucharu Świata?

Jako trener oczywiście tego bym sobie życzył i mam nadzieję, że tak będzie.

eprasa.pl 8302397b81

AKCJA SPECJALNA TARCZYŃSKI COPA KABANOS

0011605121

Czas na Nagrodę Główną I edycji Tarczyński Copa Kabanos!

Za nami Finał Ogólnopolski pierwszej edycji Tarczyński Copa Kabanos, który 30 października odbył się na Tarczyński Arenie we Wrocławiu. Dla czterech zwycięskich drużyn to nie koniec wyjątkowych doświadczeń – w ramach nagrody za wygraną w turnieju zespoły z Bukowna, Ełku, Szczecina i Lublina wezmą udział w ceremonii przedmeczowej podczas spotkania reprezentacji Polski.

Od maja boiska szkolne, przedszkolne i klubowe w całej Polsce wypełniły się młodymi piłkarkami i piłkarzami, którzy stanęli do rywalizacji w pierwszej edycji Tarczyński Copa Kabanos. Blisko 50 tysięcy uczestników w kwalifikacjach wewnętrznych pokazało, jak duży potencjał drzemie w dziecięcej piłce nożnej. Do turnieju zgłosiło się ponad 3,7 tys. drużyn, a wśród zawodników nie zabrakło dziewczynek. Dla młodych piłkarek i piłkarzy z całej Polski była to okazja do zdobywania pierwszych turniejowych doświadczeń, rozwijania umiejętności i przede wszystkim czerpania radości z futbolu.



FOT. ŁUKASZ SKWIOT

– Tarczyński Copa Kabanos to projekt, który pokazuje, jak wielki potencjał drzemie w dziecięcej piłce nożnej. 50 tysięcy uczestników kwalifikacji wewnętrznych to przede wszystkim dowód na to, że dzieci chcą grać w piłkę, rozwijać swoje umiejętności i wspólnie przeżywać sportowe emocje. Cieszy nas, że możemy tworzyć dla nich przestrzeń do rywalizacji, nauki i dobrej zabawy. Chcemy, aby każde dziecko, niezależnie od tego, czy dopiero rozpoczyna swoją przygodę z futbolem, czy ma już za sobą pierwsze sukcesy, czuło się częścią piłkarskiej rodziny – mówi **Tomasz Garbowski,** wiceprezes PZPN ds. piłkarstwa amatorskiego.

Nagrody, które zostają na dłużej

W Tarczyński Copa Kabanos na zwycięzców czekało coś więcej niż pamiątkowy puchar. Organizator turnieju – Polski Związek Piłki Nożnej – wraz z firmą Tarczyński przygotował nagrody, które sprawiają, że piłkarskie emocje nie kończą się wraz z ostatnim gwizdkiem finałowego meczu. Zwycięskie drużyny wezmą udział w ceremonii otwarcia meczu Polska-Szwecja. Dla młodych zawodników i zawodniczek będzie to okazja, by znaleźć się w samym centrum wydarzeń, zobaczyć z bliska piłkarzy, których na co dzień oglądają na ekranach, i poczuć atmosferę meczu z perspektywy murawy. Jedną z nagród jest również trening prowadzony przez szkoleniowców Polskiego Związku Piłki Nożnej.

– Nasza firma od zawsze jest związana ze sportem – nie tylko tym zawodowym, bo szczególną opieką otaczamy drużyny dziecięce i młodzieżowe, inwestujemy w infrastrukturę sportową, zachęcamy najmłodszych do aktywności. W różnych dyscyplinach opiekujemy się blisko tysiącem zawodników. Tarczyński Copa Kabanos idealnie się w naszą działalność wpisuje. Formuła 3 na 3 z wykorzystaniem czterech bramek promuje zawodników technicznych, z fantazją i chętnych do współpracy z kolegami. Do tego to po prostu dobra zabawa – to ważne, bo chcemy, by młode piłkarki i piłkarze czerpali radość z gry i cieszyli się piłką nożną – mówi **Dawid Tarczyński,** Członek Zarządu i Dyrektor i ds. Rozwoju w Tarczyński S.A.

Sponsor turnieju, marka Tarczyński, ufundował dodatkowe nagrody dla najlepszych drużyn. Zespoły, które stanęły na podium Finału Ogólnopolskiego, otrzymały vouchery na zakup sprzętu sportowego: 20 tysięcy złotych za pierwsze, 10 tysięcy złotych za drugie i 5 tysięcy złotych za trzecie miejsce. Na uczestników czekały również indywidualne upominki przygotowane przez markę Tarczyński. Na tym jednak nie koniec – szkoły i kluby reprezentowane przez zwycięskie zespoły w każdej z czterech kategorii otrzymają pneumatyczne boiska do gry w formule 3 na 3 na cztery bramki. To nagroda, która pozwoli młodym piłkarzom i piłkarkom rozwijać swoje umiejętności i czerpać jeszcze więcej radości z gry.

Finał na Tarczyński Arenie we Wrocławiu

Droga do Wrocławia prowadziła przez kolejne etapy rywalizacji – kwalifikacje wewnętrzne, etap regionalny i finały wojewódzkie. Do Finału Ogólnopolskiego awansowały 64 drużyny z całej Polski. To właśnie one spotkały się 29 i 30 października, by powalczyć o pierwsze w historii zwycięstwo w Tarczyński Copa Kabanos.

Pierwszy dzień rozgrywek odbył się na obiekcie przy ulicy Kłokoczyckiej we Wrocławiu, gdzie rozegrano fazę grupową. Przed zawodnikami i zawodniczkami stało niełatwe zadanie – rywalizacja z najlepszymi zespołami z innych części kraju, kolejne mecze i walka o awans do decydującej fazy turnieju.

Najlepsze drużyny przeniosły się na Tarczyński Arena Wrocław, gdzie 30 października rozegrano fazę pucharową. Dla wielu uczestników możliwość rozegrania spotkań na stadionie, na którym występuje reprezentacja Polski, była jednym z najważniejszych momentów całego turnieju. Przez chwilę to oni znaleźli się w centrum piłkarskiego widowiska.

Po dwóch dniach zmagań poznaliśmy pierwszych triumfatorów Tarczyński Copa Kabanos: SP 1 Bukowno (kat. U-9 dziewcząt), UKS Rona 03 Ełk (kat. U-9 chłopców), LFA Szczecin (kat. U-11 dziewcząt) oraz Bronowice Lublin (kat. U-11 chłopców). Na uznanie zasługują jednak wszystkie zespoły, które dotarły do Finału Ogólnopolskiego. Każdy z nich przeszedł własną drogę przez kolejne etapy kwalifikacji, a udział w decydującej fazie rozgrywek był zwieńczeniem wielu tygodni przygotowań. Podczas Finału Ogólnopolskiego wyróżniono także najlepsze zawodniczki i najlepszych zawodników w poszczególnych kategoriach. Indywidualne nagrody otrzymali: Iga Guzy (SP 1 Bukowno, U-9 DZ), Antoni Kalinowski (UKS Rona 03 Ełk, U-9 CH), Luiza Tyca (Lejdis Rawia, U-11 DZ) oraz Wiktor Najder (Bronowice Lublin, U-11 CH).

Innowacyjna metoda 3 na 3 na cztery bramki

Jednym z elementów wyróżniających turniej jest formuła rozgrywek – 3 na 3 na cztery bramki, inspirowana metodą Funinio. Nowa formuła zapewnia mnóstwo pojedynków, szybkich decyzji, prób dryblingu i okazji do zdobywania goli. Mniejsza liczba zawodników oznacza częstszy kontakt z piłką i większy udział w grze każdego uczestnika, a cztery bramki zachęcają do kreatywności, odwagi i poszukiwania nowych rozwiązań. W tej formule każdy ma szansę zarówno na działania ofensywne, jak i defensywne, a dynamiczna gra sprzyja podejmowaniu samodzielnych decyzji. Tarczyński Copa Kabanos powstał z myślą o popularyzacji aktywności fizycznej wśród najmłodszych i stworzeniu im warunków do swobodnej, kreatywnej gry. To właśnie możliwość eksperymentowania na boisku, podejmowania wyzwań i wspólnego przeżywania sportowych chwil stanowi jeden z najważniejszych elementów tej inicjatywy.



eprasa.pl 8302397b81

S24 **sportowy24.pl**

sport

PKO EKSTRAKLASA

Za nami emocje w derbach Krakowa i przełamanie Widzewa. Trwa kryzys Wieczystej
str. 20

WYWIAD TYGODNIA



FOT. ANDRZEJ BANAŚ

Maciej Maciusiak, trener skoczków: – Mamy dużą pewność, naprawdę czujemy moc
str. 22

LIGI ZAGRANICZNE

Dublet Roberta Lewandowskiego za oceanem. Skuteczność wróciła tuż przed zgrupowaniem reprezentacji Polski
str. 19

Chmury nad trenerem kadry zaczęły się zbierać w marcu, po przegranym barażu o mundial. Aby je rozgonić – musi teraz efektownie wygrywać



FOT. ADAM JANKOWSKI/POLSKA PRESS

Czy to ostatnia misja Jana Urbana? Tylko dobre wyniki mogą obronić jego posadę w PZPN. Tyle że powołaniami selekcjoner sobie nie pomógł...
str. 19

eprasa.pl 8302397b81